

ZESZYTY JAGIELLOŃSKIE

PISMO UCZNIÓW, NAUCZYCIELI I PRZYJACIÓŁ
LO im. KRÓLA WŁADYSŁAWA JAGIELŁY W PŁOCKU

NR 100 • MAJ 2015 • PISMO UKAZUJE SIĘ OD ROKU 2000

*Międzyszkolny Klub Myśli Polskiej
w Gimnazjum i Liceum im. Władysława Jagiełły*

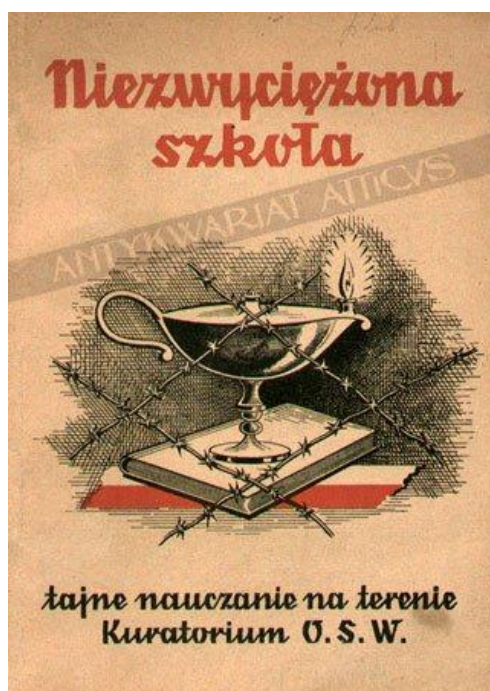
Wojenna matura



Jak oni się uczyli!

Międzyszkolny Klub Myśli Polskiej
w Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym z Oddziałami
Dwujęzycznymi im Władysława Jagiełły w Płocku

Zgromadzone w tym numerze „Zeszytów” teksty ukazują, jak młodzież czasu wojny, kiedy nie było polskiej szkoły, przygotowywała się do egzaminu maturalnego, jak się intensywnie uczyła i jak zdawała wojenną maturę, nierzadko po dwa razy, gdyż często wyniki na skutek wojny ginęły, a czasami dlatego, ponieważ dwie matury – humanistyczną i przyrodniczą – nakazywała zdawać młodemu... po prostu ambicja.



Na okładce: K. K. Baczyński, Tadeusz Borowski i Tadeusz Gajcy.

Zeszyty Jagiellońskie. Pismo Uczniów, Nauczycieli i Przyjaciół Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Władysława Jagiełły w Płocku

Redakcja: ul. 3 Maja 4, 09 – 402 Płock; <http://www.jagiellonka.plock.pl>; (024) 364-59-20

lwjszkola@jagiellonka.plock.pl;

Opiekun merytoryczny projektu: Tomasz Zbrzezny. Opiekun zespołu: Wiesław Kopeć, wkopec1@wp.pl

Zespół redakcyjny: członkowie Międzyszkolnego Klubu Myśli Polskiej.

Nadzieja Drucka

[Nadzieja Drucka /Nadzieja O'Brien de Lacy księżniczka Drucka/, 1898-1986, polska pisarka, tłumaczka pochodzenia rosyjskiego. Urodziła się w rodzinie rosyjskiej w Warszawie na terenie Królestwa Polskiego jako córka Marii z Safonowiczów i Sergiusza księcia Druckiego, carskiego generała i profesora Wojskowej Akademii Prawnej. Wyszła za mąż za Polaka. Debiutowała jako pisarka w XX-leciu międzywojennym. W czasie wojny zaangażowana w tajne nauczanie. Doświadczenia z wojennej działalności edukacyjnej opisała w powieści *Niedaleki brzeg* oraz w książce *Szkoła w podziemiu. Z dziejów polskiego tajnego nauczania w latach okupacji hitlerowskiej*, Warszawa 1973. Autorka książek biograficznych o Juliuszu Vernie („Czarodziej z Nantes”), Mozarcie („Droga do sławy”), Michaille Glince („Michel”) oraz o Mariuszu Zaruskim, pionierze polskiego żeglarstwa i wychowania morskiego („Kurs na Słońce”). Przełożyła na język polski m.in. „Obłomowa” Iwana Gonczarowa.]



Wojenne matury

[Fragment powieści *Niedaleki brzeg*; Przedruk z antologii *Pisarze o szkole*, Warszawa 1980.]

Luty czterdziestego pierwszego roku był bardzo zimny. Zofia trzęsąc się w swej jesionce podszytej wiatrem prawie biegiem zdążyła od tramwaju do szkoły. Poprzedniego dnia lekcje miała na kompletach w Śródmieściu. W szkole na Pradze nie była. Hiobowa wieść spotkała ją na progu nauczycielskiego pokoju.

Już przedtem zauważyła gromadę dziewczynek stłoczonych w korytarzu. Podniecone głosy, wypieki na bladych zwykle twarzach. Niemcy zabierają im lokal!

W ciągu 48 godzin ma się wynieść meble, cały sprzęt, dokumenty, pomoce szkolne. Dokąd? To Niemców nie obchodzi. Budynek ma być opróżniony, zajmie go jakiś oddział wojska.

Od wczoraj dyrektor molestuje polskich inspektorów w Schulamcie, był zresztą i u kierownika Biura Schultza, ale nic, absolutnie nic nie wskórał.

Młodsze klasy rozparceluje się w dwóch szkołach prawobrzeżnej Warszawy, tamtejsi dyrektorzy zgadzają się powiększyć klasy i zorganizować południowe lekcje. Starszym stworzy się komplety. Nauki nie wolno przerwać. Ale co zrobić z ławkami, tablicami, papierami? Całym dobytkiem szkolnym, gromadzonym od lat? Jeśli nie wykona się rozkazu w terminie, Niemcy usuną cały inwentarz na ulicę, nie fatygując się wynoszeniem z górnych pięter, tylko wyrzucając go przez okna, jak już nieraz miało to miejsce w grudniu trzydziestego dziewiątego roku.

Małecki już znalazł częściowo radę, przynajmniej doraźną. Ma znajomego właściciela składu drzewa. Właśnie przybiegł od niego i referuje dyrektorowi:

— Zgadza się mój Kruczek umieścić ławki u siebie w szopie i nawet wóz da z furmanem, będzie tu za pół godziny. Na razie dobre i to. Potem zastanowimy się, która ze szkół przyjmie nasz dobytek. Starsze dziewczynki zaraz zaczną wynosić pulpity.

— Proszę pani — zgłasza się Różia Wyporek — mój brat ma riksę, pobiegnę po niego. Przyda się, prawda? Może książki i drobne rzeczy wozić.

— Ja sprowadzę tatusia, w sklepie zostanie moja starsza siostra — proponuje inna.

Przychodzi jeszcze kilku ojców. Nie wiadomo, skąd dowiedzieli się, zgłaszają pomoc. Ktoś musi kierować całą akcją. Drągal, nauczyciel od fizyki, obejmuje dowództwo.

Bibliotekę szkolną, z niedozwolonymi podręcznikami, ładuje się na riksę Wyporka, na wierzch dla niepoznaki kładzie się stolik i jedno krzesło, z boku sadowi się Zofia Strazdas i brat Rózi pedałuje co siłą, by zdążyć obrócić kilka razy. Zofia wiezie książki do siebie. Nie bardzo wie, gdzie je umieścić w ciasnym mieszkaniu, na razie składa to na podłodze w sypialni. Potem będzie wszystkie segregować i wtlaczać do przepełnionej już szafy z własnymi książkami, a resztę gdziekolwiek bądź.

Wraca riksą do szkoły. Jacyś nieznajomi mężczyźni, chyba ojcowie uczennic, wynoszą już ławki, stoły, tablice. Kruczek sam furmanuje, żeby nic nie zginęło i nie popsulo się.

— Pan tu pewnie ma córkę? — pyta Zofia.

— Ale, paniusiu, moje to już dorosłe, córka za mężem, syn był w wojsku, poszedł do niewoli, pisze ze stalagu. Ja tak po dobrej woli. Oni, psiakrew, z dziećmi chcą wojować, chcą, żeby to ciemne było jak te dzikusy. Jak posłyszałem od pana Małeckiego, to aż mnie zatrzęsło. Ale i tak nie damy się. Uważajcie, panowie — woła przejęty — nogi od tablicy połamiecie, nie kłaść tyle na raz, obrócę, ile razy będzie trzeba!

Uczennice traktują przeprowadzkę jak świetną przygodę, biegają po piętach, taszczą ławki, krzesła, nawołują się i zaśmiewają przy tym.

Wszystkie nauczycielki zajęte są pakowaniem w walizki dokumentów, metryk dzieci, oprawionych dzienników. Walizki zabierze do siebie dyrektor.

— Nie zapomnijcie „Steru”, tego arcydzieła! — woła Zajączkówna i śmieje się wiedząc, jak małe znaczenie w nauczaniu ma to bezwartościowe pismo wydawane przez Niemców i narzucone wszystkim szkołom jako lektura obowiązkowa.

Młodsze dzieci, które przyszły normalnie na lekcje nic nie wiedząc o drakońskim zarządzeniu, stłoczone w gromadki snują się po opustoszałym już częściowo gmachu.

— Co teraz pocniemy? Nie będzie już nauki? — pyta nieśmiało mała dziewczynka w zbyt długiej i szerokiej matczynej kurtce.

— I śniadań nie będzie? — interesuje się inna, widocznie bardzo potrzebująca tego dokarmiania, dziewczynka.

— Będzie, wszystko będzie — uspokaja ją Kozycka siedząca w palcie o rękawiczkach w pokoju nauczycielskim. Robi wykaz „dziesiętniczek”, dziewczynek, które jutro mają się zgłosić tu do szkoły. Dostaną kartki z adresami i nazwiskami koleżanek. Będą musiały je obejść i zawiadomić, w której szkole i o której godzinie mają za trzy dni stawić się, by kontynuować naukę.

Oczywiście największy kłopot z kompletami. Trzeba znaleźć lokal dla czterdziestu dziewcząt z siódmej „a” i siódmej „b”, czyli dla gimnazjum. Przy czym grupy nie mogą być większe niż dziesięć osób.

Tym ma się zająć Małecki. Notuje nazwiska dziewcząt, posiadających telefony. Wybiera się silniejsze, sprytniejsze. Są tu w pokoju nauczycielskim, razem z dyrektorem i „brodaczem”. Siedzą na parapecie okna. Twarze poważne, skupione. Dopuszczone są do wspólnej akcji organizowania dalszej nauki. Czują się współodpowiedzialne i dorosłe mimo swych trzynastu-czternastu lat.

— Musicie pamiętać, moje dzieci — mówi dyrektor — że komplety w prywatnych

mieszkaniach są niedozwolone. Załatwię wam legitymacje szkół oficjalnych, ale zawsze pewne ryzyko ponosicie.

— My się nie boimy, panie dyrektorze — odzywa się jedna z dziewcząt.

Inne podchwytną:

— Czego się bać, uczenie się to przecież nic złego.

— Niemcom tego nie wytłumaczysz — odzywa się najstarsza z grupy Kazia Rumińska — ale my i tak uczyć się musimy, bo co, mamy jechać na roboty do Niemiec?

— A pamiętacie, jak mówił Murzyn Kali w *Pustyni i w puszczy* — wtrąca dyrektor i na jego twarzy rodzi się uśmiech. — Gdy miał iść szukać zagubionego psa, powiedział: „Kali bać się, ale Kali pójść”.

I nagle w tym zburzonym przez brutalną rękę okupanta mrowisku rozlega się śmiech sześciu, siedmiu dziewczynek, śmiech tak szczery i rozbijający, że nawet woźny Wasylczuk zagląda do pokoju i jego ponura twarz wyraża zgorznienie. Trudno mu zrozumieć, że tak niewłaściwe zjawisko jak śmiech młodzieży w tych „niehumanicznych” czasach to potężna i skuteczna broń wobec najeźdźcy, to pancierz, którym młodzież się otoczyła, by przetrwać i żyć.

Do ciemna, prawie do godziny policyjnej, trwać będzie wnoszenie mebli i pomocy szkolnych z gmachu. Praca wykonana rękami rodziców, dzieci i nauczycieli musi być ukończona przed terminem wyznaczonym przez Niemców. Niech wiedzą, że Polak między Polakami nigdy nie jest bezdomny, że solidarność społeczeństwa wzmacnia się w chwilach zagrożenia, że nauka trwa i trwać będzie. (...)

Wśród pedagogów warszawskich znalazła się nauczycielka o rzadkim imieniu Daria, przyjechała specjalnie z Mińska Mazowieckiego, bo chciała poradzić się bardziej doświadczonych kolegów w dramatycznej sytuacji powstałej w jej szkole.

Jeden z uczniów, piętnastoletni Antek, nazwiska nauczycielka nie wymieniła, został aresztowany przypadkowo, nie był torturowany, tylko umieszczony w lochach więziennych. Chłopak o słabym charakterze i wątpliwej moralności zaczął wymieniać nazwiska osób należących rzekomo do organizacji. By nadać swym zeznaniom cechy prawdopodobieństwa, a sobie dodać splendoru, wyliczał osoby zajmujące poważne stanowiska: adwokatów, lekarzy, zamożnych kupców i nauczycieli.

W ciągu kilku dni aresztowano sześćdziesiąt dwie osoby, natomiast Antek znalazł się na wolności.

Zgłosił się do swojej komórki organizacyjnej, przyznał się do winy, błagał, by mu wybaczone i ułatwiono wydostanie się z Mińska do dalekiej rodziny na wsi, gdzie pracując dla Polski zdoła odpokutować za popełniony występki.

W tym momencie opowiadania głos młodej nauczycielki załamał się, spojrziała przerażona na zebranych.

— Nie mogliśmy niczemu zapobiec, bo nie wiedzieliśmy o całej sprawie i o tym, co miało nastąpić. Wkrótce po wyjściu Antka z więzienia dziwne wrażenie zaczęła robić na nas pewna grupa chłopców. Nie byli w stanie się uczyć, nie rozumieli zadawanych im pytań, nie mogli się skupić, wyglądali na chorych. Za młodzi byli ci chłopcy, by znieść w milczeniu ciężką im tajemnicę. Stopniowo ujawnili rodzicom i nam popełnioną zbrodnię.

— Zbrodnię? — padło naraz kilka głosów.

— Jak można inaczej to nazwać? — powiedziała nauczycielka i jej błękitne oczy pociemniały.

— Chłopcy, razem z niewiele starszym od nich kierownikiem ich grupy, urządzili sąd, skazali Antka na śmierć i... udusili go.

— O Boże!

— Niemożliwe!

— I co wy na to?

Właśnie, ano właśnie — mówiła Daria w podnieceniu — co powinniśmy byli zrobić? Ujawnić Niemcom wyrok wykonany na ich niefortunnym konfidencie, to znaczy posłać na pewną śmierć nie tylko dziewięciu chłopców, którzy brali udział w samosądzie, ale możliwe, że i ich rodziców. Prawdziwie polskie sądy nie istnieją. Czy nie dość płynnie polskiej krwi? Czy wolno Polakowi iść ze skargą do Niemców?

— Jeden z chłopców, bezpośredni wykonawca wyroku, zapadł na ciężkie ataki padaczki, które nigdy przedtem nie występowały u niego, przerwał naukę i pracę w fabryce. Rodzice muszą się opłacać w Arbeitsamcie, żeby nie wysłano go na roboty do Niemiec. Wykonawcy wyroku pozostają bezkarni, czy zasługują na to?

Ciężka, przytłaczająca atmosfera zapanowała w pokoju, gdzie zgromadziło się kilkunastu pedagogów. Każdy robił naprędce rachunek sumienia, zapytując siebie, czy właściwie spełnia ciężący na nim obowiązek wychowywania młodzieży, przyszłego społeczeństwa, które będzie budować wolną i lepszą Polskę. Jak w warunkach bezprawia, okrucieństwa i nienawiści przekazać młodemu pokoleniu zasady praworządności i odpowiedzialności za swe czyny?

Nauczyciele, ciągle zagrożeni i pracujący w najcięższych warunkach, cały wysiłek kładą na wtłoczenie w młodociane umysły, w ciągu szesnastu obowiązujących godzin nauki tygodniowej, maksimum wiadomości. Na właściwe wychowanie nie ma już czasu ani sił, a przecież to równie ważne, jacy będą ci ludzie, którzy przetrwają. Niemcy łamiąc prawo, biorąc chętnie łapówki, popierając pijaństwo, donosy, wydając bezwartościowe pisma i filmy demoralizują naród. Jak oprzeć się tej lawinie nikczemności i zła? Przed oczami przemęczonych, zdenerwowanych nauczycieli stanął obraz nowego obowiązku, o którym dotychczas luźno mawiano, a który powinien przybrać realne formy po to, by wypadek z Mińska Mazowieckiego nie miał się powtórzyć.

W ciągu dwóch lat uświadomiono sobie, czego można się spodziewać po rozbestwionych perwersyjną propagandą Niemcach; słyszano o rzadkich co prawda wyrokach wyższej instancji podziemia, lecz żeby przykład wroga podziałał tak dalece na umysły młodociane, nie zdarzyło się jeszcze.

Wielkie przygnębienie ogarnęło wszystkich. Jaka jest miara winy, skoro nie zna się jej źródeł? Kto upoważniony jest do wymierzania kary? Jaki wpływ na umysły niedojrzałe i nieufornowane może mieć wykonane na koledze zabójstwo? Czy to nie wypaczy na zawsze charakterów tych, którzy się tego podjęli? Jak należy ustosunkować się do wykonawców?

Pytania te szły w próżnię. Po chwili rozpułała się dyskusja, która prowadziła... donikąd.

Czasy, okoliczności, warunki niemające precedensu nie pozwalały znaleźć jednoznacznej odpowiedzi.

Ktoś proponował specjalne pogadanki umoralniające, ktoś chciał wciągnąć do współpracy rodziców, ktoś kładł nacisk na uczęszczanie dzieci do kościoła.

Zabrała głos również Zofia:

— Może to wyda się kolegom naiwne, lecz sądzę, że jedną z form walki ze wszelkim złem, jakim Niemcy karmią nasze dzieci, jest skierowanie ich zainteresowań ku pięknu. Musimy znaleźć czas, no i pieniądze, by urządzać zakonspirowane koncerty, wieczory recytatorskie, wystawy pięknych robót ręcznych wykonanych przez młodzież, urządzać amatorskie przedstawienia w szkołach, no i zachęcać do czytania najlepszej, najświetniejszej literatury...

— Czy to nie utopia? — powiedział przewodniczący zebrania.

— Mój Boże, kiedy znaleźć na to czas? — odezwał się ktoś z rogu pokoju bardzo zmęczonym głosem.

— Jeszcze jedna okazja do narażania się — powiedział ktoś inny.

Zofia nie chciała dać za wygraną:

— Misja nauczyciela nie równa się pracy urzędnika. Praca w szkole to powołanie, a nie zawód. Zawsze byliśmy w gorszej sytuacji materialnej, zawsze wymagano od nas więcej, niż byliśmy w stanie

dać. Nasze satysfakcje nie mierzą się ani rozgłosem, ani pieniędzmi, ani nawet pamięcią o nas, gdy odchodzimy. Pomimo trudności spróbujmy dołożyć sobie jeszcze trochę pracy, jeśli rzeczywiście wierzymy, że uczulenie młodzieży na piękno może złagodzić obyczaje i pomoże wychować lepszych ludzi,

Wszyscy czuli się zmęczeni tym, co dziś usłyszeli, nie mieli nawet sił, by oponować. Nie wysuwano już żadnych wniosków. Przypomniano tylko, że godzina późna, niektórzy mieszkają daleko — trzeba skończyć zebranie.

Zofia brnęła po śniegu w ciemnościach zalegających Żoliborz.

Na rogu ulicy Krasieńskiego poczuła raczej, niż zobaczyła, że z tyłu i z boków jest otoczona przez chwiejne męskie postacie.

— A dokąd to paniusia tak się śpieszy? — wybełkotał ktoś nad jej uchem. Jednocześnie ktoś inny wziął ją pod rękę.

— A pieniądze paniusia ma? — pytał trzeci.

Krzyczeć, wołać pomocy? Najwyżej usłyszysz któryś z kolegów idących za nią, może narazi go na bójkę, posłyszysz patrol niemiecki, co byłoby najgorsze. „Nie, spróbuję poradzić sobie sama”.

Tonem, którym kiedyś dawniej zwracała się do niesfornej gromadki dzieci, zawołała:

— Co to takiego! Puść mnie w tej chwili! — uderzyła z całej siły po łapie obejmującej jej rękę. — Czy to nie wstyd! Zamiast żeby zaopiekować się, pomóc kobiecie w tych ciemnościach, to wy napadacie ją.

— E tam, takie gadanie — niepewnym głosem odezwał się ten z tyłu.

— Nie wiecie, kim jestem...

— A co, może folksdojczką, żeś taka ważna.

— Trzymaj ją, Józek!

„Zabiorą mi ostatnie pieniądze, do pierwszego daleko, nic nie poradzę — przeleciało Zofii przez głowę. — Żeby chociaż palta nie zdjęli”.

Na odlew z całej siły uderzyła jednego z napastników w twarz i zaczęła biec, ale już trzymano ją, wyrwano torebkę.

Krzyknęła:

— To za tę folksdojczkę dostałeś, łobuzie! Jestem Polką, jestem nauczycielką, co za grosze, za Bóg zapłać, w tajnych kompletach uczy wasze dzieci.

I nagle stał się cud. Napastnicy zabrali ręce, jeden z nich wepchnął jej pod pachę torebkę bełkocząc coś, podtrzymując się nawzajem, ledwo stojąc na nogach zaczęli iść przed siebie zostawiając oszołomioną Zofię na wydeptanej w śniegu ścieżce.

Cud — wyszeptwała Zofia poprawiając na głowie chustkę i zapinając pod szyją palto i po chwili dodała: — A może to i nie cud! (...)

Ze wszystkich swoich kompletów Zofia najbardziej lubiła i ceniła komplet tegorocznych maturzystów, chłopców w liczbie siedmiu, z którymi miała lekcje w prywatnym mieszkaniu na ulicy Piusa. Nazywała ich kompletem Wojtków, bo było aż trzech chłopców tego imienia. Grupa była zżyta, inteligentna, ucząca się chętnie i mocno zaangażowana w pracę konspiracyjną.

Mimo protestów i upomnień z jej strony chłopcy przynosili gazetki i lubili przed czy po lekcji porozmawiać o polityce.

Dziś wychodząc z domu Zofia przypadkowo spojrzała na kalendarz — 17 października 1943 rok. Mój Boże, już przeszło cztery lata tej okropnej wojny!

Dziś w ramach geografii ekonomicznej ma mówić o sytuacji gospodarczej Francji, Anglii i Niemiec przed rokiem 1939. Notatki z cyframi jak zawsze chowa na biurku za bluzką, książek żadnych nie zabiera. Chłopcy przyniosą książki biologii, które mogą usprawiedliwić rzekomą korepetycję w razie rewizji. Zresztą ostatnio Niemcy mniej zwracają uwagę na nielegalną naukę wobec wzmożonej akcji bojowej terrorystyczno-odwetowej.

W maju zastrzelono na ulicy gestapowca Schultza, słynnego z wymyślnego okrucieństwa. Zabito Geista, sadystę Langego, w „Cafe Adria” zginęli trzej oficerowie gestapo, przy ulicy Nowogrodzkiej w barze rzucono granat zabijając i raniąc wielu Niemców.

Okupant woli widocznie, by młodzież w tej złej dla niego fazie wojennej zajmowała się nauką, a nie sposobiała się do bojówek odwetowych. Rzadsze były niemieckie wizytacje w szkołach

oficjalnych, mniej wykrywano nielegalnych kompletów, które zresztą objęły w Warszawie całą młodzież w wieku szkolnym.

Wietrzny i zimny był ten październikowy dzień, gdy Zofia śpieszyła na lekcję. Zadzwoniła normalnie jeden raz, drzwi otworzyła właścicielka mieszkania, krawcowa mieszkająca z synem w dwóch małych pokojach.

— Są już chłopcy? — spytała Zofia.

— Ano są, tylko Wojtka Starego jeszcze nie ma.

Każdy z Wojtków miał przezwisko, bo w zwyczaju było zwracać się do uczniów po imieniu.

Przyszedł za chwilę i powiedział, że na ulicy coś się szykuje, bo u wylotu ulicy Kruczej pełno policji i stoją dwa wozy żandarmerii niemieckiej.

Nastrój podniecenia udzielił się momentalnie zebranych chłopcom, a i samej Zofii, która mimo woli podeszła do okna.

Na chodnikach ukazali się uzbrojeni Niemcy i wymachując rękami pokazywali, by odejść od okien. Jeden z nich widząc zgrupowanych przy parapecie chłopców zamierzył się nawet z karabinu maszynowego, że będzie strzelał.

— Odejdźcie, chłopcy, odejdźcie! — zawołała Zofia i prawie przemocą odciągnęła swoich uczniów od okna.

Do pokoju weszła krawcowa.

— Słyszałam, że wczoraj w alei Niepodległości Niemcy na ulicy na oczach wszystkich rozstrzelali naszych więźniów, może coś takiego się szykuje. Boże, mój Boże!

Chłopcy kucnęli przy oknie. Nie było mowy o lekcji. Zofia stała nieco głębiej w pokoju, ale doskonale widziała, co się dzieje na przeciwległym chodniku.

Zajechał samochód ciężarowy z kilkunastu uzbrojonymi gestapowcami, a za chwilę „buda”, z której wypychano skutych kajdanami mężczyzn. Ustawiano ich pod murkiem.

Z zapiętymi tchem i zaciśniętymi pięściami podpatrywali zebrani w pokoju straszliwą scenę, która miała za chwilę się rozegrać. Zofia nie miała sił zabronić chłopcom patrzenia z ukrycia zza firanki na to, co się dzieje na ulicy. Nowy wrzask z chodnika i kula przebiła szybę rozpryskując szkło po podłodze. Żandarm musiał zauważyć czyjąś głowę wysuniętą zza framugi.

— Boże! — zawołał któryś z chłopców i wszyscy odskoczyli pod ścianę.

Zofia znieruchomiała, zdążyła tylko spostrzec, że w pokoju nikomu nic się nie stało.

Z dołu doleciał wyraźny, choć nieskoordynowany okrzyk kilkunastu głosów „Niech żyje Polska!”. W tej samej chwili rozległa się salwa i dwadzieścia ciał osunęło się na ziemię. Druga seria karabinów unieruchomiła drgające jeszcze postacie.

Zofia uczyniła znak krzyża w kierunku zmarłych męczenników i zasłaniając twarz ciężko usiadła na krześle. Paru chłopców, nie krępując się kolegów, zapłakało. Każdy z osobna, każdy inaczej przeżywał tę okropną chwilę.

I wśród absolutnego milczenia zabrzmiał wyjątkowo groźnie i niecodziennie dzwonek u drzwi i zaraz potem walenie i wrzask:

— *Aufmachen!* Otwierać!

Nie było czasu, by ustalić wspólne działanie i jednakowe odpowiedzi. Notatki z poprzedniej lekcji geografii leżały na stole.

Jeden z Niemców pytał łamaną polszczyzną:

— Skąd tu tyle chłopców? Nauczycielka? Nielegalna lekcja, co? Dlaczego patrzyliście przez okno? Było zapowiedziane, że nie wolno.

— Dlaczego nie wolno? — wyrwał się nagle Jurek, najstarszy z młodzieży.

— A co, chcieliście patrzeć, jak się likwiduje bandytów, co?

Zofia z przerażeniem spojrzała na Jurka. Miał zaciśnięte pięści i był śmiertelnie błądy.

— Uczono mnie — powiedział dziwnym nieswoim głosem — że bandyci to są ludzie, którzy bez powodu strzelają do bezbronnych!

Nagle i gwałtowne uderzenie w twarz zważyło Jurka z nóg. Kopnięto go butem w brzuch.

Koledzy podnieśli chłopca i trzymali pod ręce.

Jeden z żandarmów rozejrzał się po pokoju. Chwycił książkę leżącą na stole, zagarnął notatki.

Aresztowano wszystkich zebranych wraz z właścicielką mieszkania. Dozorcy kazano zamknąć je na klucz i pod karą więzienia nie pozwolono otwierać.

Tadeusz Borowski

[Tadeusz Borowski, 1922-1951, poeta, prozaik, więzień Auschwitz, Birkenau i Dachau, w 1940 roku ukończył Gimnazjum im. Tadeusza Czackiego na tajnych kompletach i zdał wojenną maturę, którą opisał w opowiadaniu *Matura na Targowej*. Studiował polonistykę na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. W 1943 r. aresztowany i uwięziony na Pawiaku. Potem wywieziony do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz. Otrzymał numer obozowy 119198. Pierwodruk *Matury na Targowej* w zbiorze *Pewien żołnierz. Opowieści szkolne* z 1947 roku. Autor zbiorów opowiadań *Pożegnanie z Marią* i *Kamienny świat* z 1948 roku.]



Matura na Targowej

[Ze zbioru *Pewien żołnierz. Opowieści szkolne*, 1947; Przedruk z antologii *Pisarze o szkole*, Warszawa 1980.]

Całą zimę uczyłem się w małej przybudówce, którą zostawiła nam fabryka na gruzach zniszczonego podczas pierwszej bitwy o Warszawę — domu.

Przybudówka była wąska, niska i wilgotna, a przez wielkie okno, uchylające się na teren dawnych garaży, obecnie zarośnięty krzewami, wlewał się wieczorami księżyc i błyszcząły światła z mostu. Uczyłem się wtedy późnym wieczorem, płomień lampki, skonstruowanej z kałamarza (trzeba było oszczędzać nafty), chwiał się, poruszony oddechem. Wtedy olbrzymie cienie mojej głowy przesuwają się po ścianie bezgłośnie jak na filmie. Na zbitym z desek tapczanie spał ciężko ojciec, pracujący prawie dwanaście godzin w niemieckiej fabryce, matka, duży rasowy doberman, przyplątany do nas nie wiadomo skąd podczas oblężenia. Olbrzymi, poczciwy pies kręcił się przy rodzicach, kiedy po spaleniu domu biwakowali na pustym placu pod daszkiem z papy, chroniącym od deszczu, uganiał się za wronami, poszczekiwał na obcych i tak już został. Tej samej zimy Andrzej jeździł na rikszy. Riksza jest to trzykołowy wózek rowerowy. Przewozi się nim towary i ludzi. Jak w Japonii — za pomocą nóg. Andrzej, wysoki, smukły, o czarującym spojrzeniu chłopiec, razem ze mną kończył szkołę. Kiedy ja byłem zaczytany w Platonie i polskich filozofach okresu romantycznego, on sięgał do Ibsena i Przybyszewskiego, duchowego wodza Młodej Polski, do Kasprowicza, czołowego poety tego okresu. Sam pisywał wiersze jeszcze w szkole. Teraz zaś, w gorące dni okupacyjne, pisze pamiętnik. Arkadiusz był malarzem. Świetnie znał matematykę. W dyskusjach filozoficznych cytował nieznane nam nazwiska, nazywał prądy, o których nie wiedzieliśmy nic. Był blondynem, miał przenikliwe spojrzenie artysty. Utrzymywał się z rysowania karykatur przechodniom. Narysował ich ponad dziesięć tysięcy.

Wyprowadził się od bogatego ojca, znanego krawca warszawskiego, mieszkał samotnie, uczył się w akademii malarskiej, robił jednocześnie maturę i — pił.

Julek był wychowankiem jezuitów. Pracował systematycznie nad Tomaszem z Akwinu, nad Grekami i filozofią niemiecką. Zarabiał handlem dewiz.

Wszyscy zginęli mi z oczu.

Ale zanim rozrzucił nas los, zanim ja nie pojechałem do Oświęcimia, Andrzej nie zginął w ulicznej egzekucji i pod fałszywym zresztą nazwiskiem Arkadiusza, zanim nie przykryły gruzy barykady warszawskiej — tej zimy, pierwszej zimy wojennej, kiedy na zachodzie, na linii Maginota, trwały przyjazne potyczki patroli, a samoloty angielskie zrzuciły nad Niemcami paczki ulotek, rozwiązując starannie każdą z nich, żeby (jak żartowaliśmy) nie zabić przypadkowo Niemca — u nas, w ciemnej jak grób Warszawie, szczękały salwy plutonów egzekucyjnych, a w domach o oknach zabitych deskami kończyliśmy wtedy drugą licealną, przygotowaliśmy się do matury, choć wiedzieliśmy, że wojna będzie trwała długie lata.

Uczyliśmy się w naszych prywatnych mieszkaniach, zimnych, ciasnych. Służyły nam one i za klasy, i za pracownie chemiczne. Niektórzy zresztą mieli bogate domy. Stąpało się tam po puszystych dywanach, oglądało się obrazy najslawniejszych mistrzów, dotykało się końcami palców grzbietów złożonych książek, a po komplecie, po lekcji matematyki, po wykładzie z literatury, ćwiczeniach fizycznych albo lekturze książki religijnej (bo i religia była wykładana przez poczciwego księdza) — co bywalsi siadali do brydża przegrywając przy kartach zarobione nieraz na czarnej giełdzie pieniądze. Dym papierosów gęstniał w salonie, zwijał się u okna i rozpląszczał pod sufitem.

Zima, choć ciężka i ciemna, minęła niepostrzeżenie. Wprawdzie Andrzej chorował niebezpiecznie na płuca i musiał rzucić swoją riksę, wprawdzie Arkadiusz nie chciał iść do urzędu niemieckiego, aby wykupić świadectwo artystyczne, i był tropiony przez policjantów na ulicach, ale dorobek nasz był znaczny. Andrzej miał w teczce parę dobrych wierszy, ja trochę książek na zbitej z desek etażerze, które kupiłem ze sprzedaży piłowanego drzewa, Arkadiusz znalazł wreszcie mieszkanie i nie sypiał już po kolegach. Po tej koszarnej, trupiej zimie pozostało jeszcze wspomnienie egzekucji w Wawrze, kiedy za pijanego żołnierza niemieckiego, zakłutego w bójce przez swego własnego towarzysza, gestapo wyciągnęło z mieszkań i rozstrzelało na pustym zaśnieżonym polu dwustu mężczyzn. Już zapełniały się cele Pawiaka, wstawiała się już aleja Szucha, już mieliśmy w ręku pierwsze gazetki konspiracyjne, już roznosiliśmy je sami.

Wiosną, kiedy wojska niemieckie uderzyły na Danię i Norwegię, a zaraz potem jak nóż w ciało wbiły się we Francję, w Warszawie rozpoczęto pierwsze łapanek. Ogromne budy niemieckie, samochody ciężarowe, pokryte brezentem, wyjeżdżały stadami na miasto. Żandarmi i gestapowcy obstawiali ulice, wygarniali wszystkich przechodniów na auta i wieźli do Rzeszy — na roboty, a zwykle bliżej — do Oświęcimia, na Majdanek, do Oranienburga, osławionych obozów koncentracyjnych. Ilu przeżyło z dwutysięcznego transportu, który w sierpniu 1940 roku przybył do Oświęcimia? Może pięciu ludzi. Ilu przeżyło z siedemnastu tysięcy ludzi wytransportowanych z ulic warszawskich w styczniu 1943? Dwustu? Trzystu? Nie więcej!

Wtedy też, w okresie tych pierwszych niemieckich łapanek, które robiły tak absurdalne wrażenie w stolicy wielkiego państwa, zamienionej nagle na dżunglę, w okresie gdy Hitler fotografował się na wieży Eiffla, a olbrzymie polskie transporty więźniów szły do Oranienburga, właśnie wtedy my czterej, Andrzej, Arkadiusz, Julek i ja — my czterej zdawaliśmy maturę.

Nie my jedni. Żadne gimnazjum warszawskie nie pozostało w tyle. Wszędzie, u Batorego, u Czackiego, u Lelewela, u Mickiewicza, u Staszica, u Władysława Czwartego, w gimnazjach żeńskich: Plater, Królowej Jadwigi, Konopnickiej, Orzeszkowej, we wszystkich gimnazjach prywatnych poczynając od tych najlepszych, jak Św. Wojciecha i Zamoyskiego — wszędzie odbywały się egzaminy maturalne ostre, dokładne jak co roku, jak zawsze, odkąd nowoczesna szkoła istnieje.

Tysiącami młodzież zdawała matury. Tysiące kończyły gimnazjum i szły do liceum. Wtedy gdy Europa leżała w gruzach, w Wielkopolsce, na Śląsku, na Pomorzu i w sercu Polski — w Warszawie, dzieci i młodzież ratowały wiarę w Europę i wiarę w dwumian Newtona, wiarę w rachunek całkowity i wiarę w wolność ludów. Kiedy Europa przegrywała swoją bitwę o Wolność, młodzież polska — i myślę, że czeska i norweska również — wygrywała swą bitwę o Wiedzę. Pamiętam, staliśmy we trzech na przystanku przy ogromnym gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego, w Alejach Jerozolimskich. Nieustannie przez tę największą arterię przelotową stolicy przewalały się masy wojska niemieckiego, szły transporty na wschód i na zachód, czołgi, wozy pancerne, ciężarówki napęczniałe towarem. O kilka ulic dalej, na placu Trzech Krzyży, na którym stoją dziś już tylko ruiny pięknego kościoła św. Aleksandra, łapano ludzi. Żandarmi obstawili wszystkie wyloty placu. Z warkotem motorów napchane ludźmi budy wlokły się ciężko na Pawiak.

Było to absurdatne widowisko. Nie wiem, dlaczego pobudzało do śmiechu. Niekiedy skala reagowania człowieka jest zbyt mała i gdy sięga tragicznego dna, wtedy wyzwała się w śmiechu. Wszyscy trzej byliśmy w świetnych humorach, że żyjemy, że jesteśmy w samym środku łapanki, że musimy jechać na drugą stronę Wisły, na ulicę Targową, zdawać maturę. I że tam pojedziemy, choćby się ziemia waliła.

I właśnie wtedy podeszła do nas stara, siwa pani. Zwróciła ku nam pomarszczoną twarz. W oczach jej odbijała się wyraźna troska.

— Panowie, na mieście odbywa się łapanka na placu Trzech Krzyży — rzekła cicho. Wszyscy ostrzegali wszystkich przed łapankami, jak dawniej przed zarazą. — A czy panów nikt nie zaczepia?

— Oprócz pani, nikt — parsknął Andrzej.

Wskoczyliśmy w tramwaj i pojechaliśmy na Pragę. Za mostem szła aleja z jednej strony granicząca z polem, z drugiej — z Saską Kępą, dzielnicą willową, a tam, u zamknięcia alei, rozstawiła się druga kolumna samochodów i czekała na tramwaje, jak tygrys na szlaku antylop. Wysypaliśmy się w biegu z tramwaju jak gruszki i przemknęliśmy na ukos polem, zasadzonym świeżą jarzyną. Ziemia pachniała wiosną. Kwitła na polu dziewanna i brzęczały pszczoły. A w mieście, leżącym za rzeką, jak w głębokiej dżungli odbywały się łowy na ludzi.

Kiedy przedarliśmy się do mieszkania na Targowej, w którym już czekał na nas dyrektor, przewodniczący Komisji Egzaminacyjnej, wychowawca klasowy i profesor chemii, fala łapanki dopłynęła aż pod nasze okna.

Dyrektor był milczący. Słuchał uważnie odpowiedzi. Wychowawca, wysoki, dobroduszny pan, patrzył dobrotliwie na nas i pomagał nam wzrokiem. Nigdy nie mieliśmy opinii dobrych chemików, ani Andrzej, poeta i krytyk, ani Arkadiusz, malarz i filozof, ani ja. Błede nasze odpowiedzi wywoływały chytry uśmiech na twarzy egzaminatora, którego dla jego siwej brody nazywaliśmy w szkole Koziabródka. W istocie był to bardzo ceniony naukowiec.

Jakoś tam zdaliśmy. Wtedy Koziabródka rzekł:

— No, panowie (to „panowie” zaakcentowało naszą nową dojrzałość z chemii) — nie bądźcie głupi i nie dajcie się złapać.

Wskazał dłonią za okno, za którym kłębił się tłum otoczony policjantami, i dodał podnosząc do góry probówkę z jakimś czerwonym, okropnie złożonym płynem, którego wzór na próżno usiłował Andrzej wywieść na tablicy:

— Kiedy nie wiecie, w co wierzyć, wierzcie w chemię. Wierzcie w naukę. Przez nią wróćcie do człowieka.

Jednego tylko człowieka nie było wtedy między nami: tego płowowłosego Julka, wychowanka księży. Złapano go między Nowym Światem a Alejami i ślad po nim zaginął. Jesienią, gdy wstępowaliśmy na podziemny uniwersytet, doniesiono nam, że Julek został wywieziony do Oranienburga, osławionego obozu pod Berlinem, i że jeszcze żyje.

Stanisław Pagaczewski

[Stanisław Pagaczewski, 1916-1984, powieściopisarz, autor popularnych książek dla dzieci – *Porwanie Baltazara Gąbki*, *Misja profesora Gąbki*, *Gąbka i latające talerze*. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. W czasie wojny prowadził tajne nauczanie. Wojenne doświadczenia zawarł w książce *Szkoła bez dzwonka*. Jest także autorem licznych przewodników turystycznych po Beskidach i okolicach Krakowa.]



Szkoła bez dzwonka

[Fragment powieści wydanej w Krakowie w 1974 r.; Przedruk z antologii *Pisarze o szkole* z r. 1980]

Nazajutrz odbyła się trzecia lekcja z Żabickim. Na dwóch pierwszych spotkaniach więcej mówiono o przyczynach wrześniowej klęski niż o zawartym w podręcznikach materiale. Ale właśnie ten temat pchnął docenta do podjęcia decyzji, że na pierwszy ogień pójdzie historia. Żabicki, który zdał maturę w roku 1918, dziś jeszcze wyrwany ze snu był w stanie bez pomyłki wyliczyć wszystkich władców Polski, nie zapominając o datach ich panowania. Podobną orientację wykazywał również w sprawach rodzinno-dynastycznych Piastów i Jagiellonów, nie mówiąc już o zasadniczych i zwrotnych momentach polskich dziejów. Jako historyk sztuki odczuwał jednak szczególną sympatię do tych władców, którzy wzbogacili kraj w zamki, kościoły i pałace, a zwłaszcza w cenne dzieła snycerki, tkactwa czy złotnictwa. Ukończone gimnazjum typu klasycznego dało mu również dobrą znajomość greki i łaciny, a młodość spędzona pod zaborem austriackim pozwoliła na solidne opanowanie języka niemieckiego. Tak więc Paweł miał wszelkie dane, aby sądzić, że w zakresie przedmiotów humanistycznych zyskał dobrego, lecz na pewno bardzo wymagającego nauczyciela. Nieco gorzej rysowały się perspektywy w zakresie matematyki, fizyki i chemii. Żabicki jednak postanowił przypomnieć sobie to i owo i w tym celu zabrał się do studiowania podręczników. Znając naukową pedanterię docenta, można było przypuszczać, że i w tym zakresie da sobie radę. Natomiast kwestia nauczyciela literatury została rozstrzygnięta od razu dzięki istnieniu Marka. Postanowiono więc zacząć od przedmiotów humanistycznych, odkładając na później nauki przyrodnicze. (...)

Żabicki zamknął podręcznik dając tym samym do zrozumienia, że lekcja jest skończona. Paweł, Tadzik i nowa ich koleżanka, Krystyna, odsunęli krzesła od biurka.

— Chwileczkę, moi kochani. Musimy jeszcze ustalić pewne zasady postępowania.

Chodzi o to, żeby ludziom nie dawać powodów do podejrzeń. Najważniejsze, żebyście nigdy nie przychodzili razem. Powiedzmy więc, że Krysia będzie przychodzić od frontu, a chłopcy od tyłu. Po kilku dniach zmienimy tę kolejność. We wtorki i piątki lekcje będą się odbywały w aptece, pan magister już się na to zgodził. A od poniedziałku będziecie mieć nowego nauczyciela od łaciny i niemieckiego.

Ostatnia wiadomość zelektryzowała trójkę uczniów. To była prawdziwa niespodzianka! Trzy pary oczu skierowały się na docenta.

Będzie nim pan Adamski, który, jak już pewnie wiecie, zamieszkał u notariusza. Z zawodu jest sędzią, a raczej był nim aż do wojny. W Bielsku. Został jednak wysiedlony z własnego domku zajętego przez jakiegoś hitlerowskiego dygnitarza. Dali mu tylko pół godziny na spakowanie się, więc zabrał trochę bielizny i kilka książek. To człowiek, który doskonale zna siedem języków.

- O rany — jęknął Tadzik — aż siedem?
- Jakie? — zainteresowała się Krystyna.
- Łacinę, grekę, niemiecki, angielski, rosyjski, francuski i hiszpański.
- To fantastyczne! — rzekł Paweł. — Jak on to zrobił?

Żabicki uśmiechnął się.

— Dla kogoś, kto ma zdolności językowe, to nie takie trudne. Pan Adamski był w wojsku austriackim podczas tamtej wojny i zaraz w pierwszej dużej bitwie pod Kraśnikiem dostał się do niewoli rosyjskiej. Przez cztery lata siedział w obozie jeńców na Syberii. Tam się nauczył języka. Grekę i łacinę znał już dobrze ze szkoły, bo skończył gimnazjum klasyczne. Niemieckiego też nie mógł nie znać jako obywatel austriacki.

— A te inne języki? — interesowała się Krystyna.

— Też w obozie. Ktoś miał z sobą podręcznik do hiszpańskiego, ktoś inny do angielskiego i francuskiego. Uczyli się razem i wzajemnie przepytawali.

— I nic z tego nie zapomniał?

— Ten człowiek ma znakomitą pamięć. Wczoraj recytował mi bez zająknięcia długie ustępy z *Odysei*. A potem poczęstował mnie oryginalnym fragmentem *Makbeta*. Mówi po angielsku jak sam Chamberlain.

— Fajna ta nasza buda — zażartował Paweł — trzech uczniów i trzech nauczycieli.

Docent lekko uniósł rękę i zwrócił się w kierunku okna. Usłyszeli wytężony warkot samochodu ciągnącego ulicą ku rynkowi. Po chwili spoza akacji wytoczyła się wielka „buda”. Spod uchylonej plandeki zazieleniły się mundury.

— Szkopy! — wrzasnął Tadzik i zerwał się z krzesła. Paweł i Krystyna błyskawicznie wciągnęli na siebie płaszcze.

— Wiejemy przez ogród!

— Tylko spokojnie i bez paniki. I nie naraz — usłyszeli głos Żabickiego. — Paweł na lewo, a wy na prawo.

W chwili gdy samochód zatrzymał się przed budynkiem gminy, w pokoju nie było już śladu po uczniach i po lekcji, zaś na biurku królował najnowszy numer „*Krakauer Zeitung*”. W drzwiach stanął Marek.

— Co tam?

— Zdaje się, że fałszywy alarm — powiedział Żabicki nie spuszczać z oka samochodu. — Wysiadło tylko dwóch żołnierzy z jakimiś paczkami. Pewnie nowa porcja słoniny do Vaterlandu. Ale a propos poczty: naczelnik pytał mnie dziś, czy nie zechciałbyś uczyć jego syna. Druga gimnazjalna.

— Czemu nie — rzekł Marek. — Zrobione. (...)

W dwa dni po urodzinach Pawła przybył do Żabickiego nieoczekiwany gość. Był to jeden z jego najbliższych znajomych, nauczyciel gimnazjalny, Edward Ochocki, wykładowca

fizyki. Obaj panowie uściskali się serdecznie, gdyż było to ich pierwsze spotkanie od roku.

— Skąd wiedziałeś, że tu jestem? — zapytał Żabicki wprowadzwszy gościa do pokoju. Edward uśmiechnął się tajemniczo.

— Ano, tak się składa, że wiem o tobie znacznie więcej... Żeby uniknąć zbędnych słów, powiem ci od razu, że siedzę po uszy w tajnym nauczaniu. I właśnie w tej sprawie do ciebie przychodzę. Prowadzisz komplet w zakresie ostatniej klasy liceum.

Żabicki machnął ręką z lekceważeniem.

— Komplet to chyba za dużo powiedziane. Mam trójkę uczniów,

— *Tres faciunt Collegium* — rzekł na to Ochocki. — Masz jeszcze sześciu uczniów z niższych klas gimnazjum.

— Zgadza się. Pierwsza i druga. Jesteś doskonale zorientowany.

— No cóż, to należy do moich obowiązków. Jestem upoważniony przez nasze władze do mianowania cię kierownikiem tajnego nauczania na terenie całej gminy. Są tu komplety w Turzycy, Siekierkach, Grabnie, w Zielonej i Staszkowicach.

— Z Turzycą nawiązałem już kontakt — rzekł Żabicki.

— Wiem.

— Ale nie wiedziałem o pozostałych ośrodkach.

— Teraz już wiesz. Musisz odwiedzić wszystkie te punkty i wziąć je pod opiekę. Nie muszę ci chyba mówić, o co chodzi — ogólne porady metodyczne, wskazówki... (...)

— W jakim terminie zamierzasz skończyć materiał?

— Myślę, że dam radę do końca września.

— Jak z podręcznikami?

— Nie najgorzej. Jakoś sobie radzimy. Książki wędrują z rąk do rąk. Mamy także własną pracownię chemiczną.

— To też wiem — uśmiechnął się Ochocki. — Apteka, co?

Docent skinął głową. Orientacja Edwarda była rzeczywiście imponująca.

— Nie muszę ci chyba przedstawiać swoich ludzi?

— To zbyteczne. Wystarczy, że my tylko będziemy z sobą w kontakcie. Po prostu od czasu do czasu zrobię sobie wycieczkę do Dębowic. Ładnie tu u was, spokojnie. To rozkosz nie widzieć Szwabów. (...)

— Jak długo się tu zatrzymasz?

— Już idę. Mam pociąg za trzy kwadranse. Zobaczymy się dokładnie za miesiąc. Oczywiście, o ile mnie Szkopy wcześniej nie nakryją. Przez ten czas nawiąż kontakt z pozostałymi grupami. Pozwól kawaleczek papieru...

Ochocki usiadł przy biurku i ołówkiem nakreślił na kartce kilka nazwisk.

— Naucz się ich na pamięć — powiedział podając ją Żabickiemu. Od razu, bo kartkę zaraz spalimy. A ja sobie tymczasem przeglądnę gazetę.

— W porządku — rzekł docent po chwili. — Możemy spalić. Czybyś jednak nie został na obiedzie? Następny pociąg masz za trzy godziny.

— Zrobiłbym to z rozkoszą — zapewnił go Ochocki. — Chętnie bym się wykapał w Bystrzycy i odetchnął czystym powietrzem, ale muszę już wracać.

— No to nie zatrzymuję.

— Trzymaj się, stary, cieszę się, że dobrze wyglądasz i że się nic nie zmieniłeś. Do zobaczenia za miesiąc, cześć! Ale chwileczkę, tam idzie policjant, po co ma mnie widzieć...

— Ten? Nie ma obawy. To ojciec jednego z moich uczniów. Już dwa razy nas ostrzegł, gdy gestapo wybierało się w nasze strony.

Boże, co za czasy! — rzekł Ochocki. — Syn granatowego policjanta w tajnym komplecie, docent historii sztuki jako nauczyciel trygonometrii, aktor księgowym w spółdzielni...

— A ty co robisz oficjalnie?

Ochocki ujął się pod boki i zapytał z przymrużeniem oka:

— A jak myślisz? Co może robić belfer gimnazjalny, a do tego fizyk?

— Nie wiem.

— Otóż przyjm do wiadomości, że mówisz z fachowym, dyplomowanym

i wykwalifikowanym... rozlepiachem plakatów i ogłoszeń! To dlatego muszę wracać wcześniejszym pociągiem. O ósmej zaczynam dzień, *pardon*, noc pracy. (...)

Ten sierpniowy jarmark nie różnił się na oko od poprzednich. Tak samo jak zwykle zjawili się na nim umundurowani i cywilni Niemcy z miasta powiatowego, aby zaopatrzyć się w upragnione produkty wsi polskiej. Tak samo jak zwykle rozstawili się po drogach wiodących do miasteczka, aby przy pomocy wrzasków i gróźb wejść w posiadanie polskich jaj i polskiego masła, niezbędnych ponoć do szybkiego wygrania wojny z wiarołomnym Albionem. Z Albionem, który, rzecz dziwna, ani rusz nie chciał słyszeć o zawarciu natychmiastowego pokoju i oddaniu Europy w ręce jasnowłosych „nadrudzi”. Tak jak zwykle przy figurze św. Floriana wyrosły kramy z jarzynami, a w cieniu ratusza zgrupowało się kilkanaście furmanek, zaprzęzonych w wychudzone i pokryte rojami much konie. Przybyły też stałe bywalczynie wszystkich jarmarków, zadzierzyste i wyszciekane handlarki, obarczone kosztami i walizkami, nic sobie nie robiąc z obecności żandarma Mullera obnoszącego po rynku swą powagę wraz z nader wydatnym brzuchem i błyszczącą jak pomidor gębą. I w aptece, tak jak zwykle, panował jarmarczny tłok i zaduch, a Irena i Zielonka nie mieli od rana ani chwili wytchnienia.

A jednak nie był to zwyczajny jarmark, gdyż zjawili się na nim ludzie zupełnie obojętni wobec spraw kupna i sprzedaży. Wiedziała o nich tylko nieliczna grupa zainteresowanych, a grupa ta składała się z nauczycieli i uczniów tajnego kompletu. Owi niezwykli goście byli po prostu członkami komisji, która przybyła do Dębowic, aby przeprowadzić egzamin dojrzałości, a także przeegzaminować uczniów niższych klas gimnazjalnych. Kiedy indziej każda obca twarz mogłaby wywołać szereg domysłów i zbędnych komentarzy. Wszyscy bowiem znali się tu doskonale, co trafnie ujął sędzia Adamski, mówiąc, iż wystarczy, aby jednego obywatela Dębowic ugryzła pchła, żeby pozostali natychmiast zaczęli się drapać...

Część egzaminu miała się odbyć w mieszkaniu magistrza Zielonki, część zaś w domu Marka.

Jakże inaczej wyobrażał sobie Paweł dzień swojej matury. Miał to być dzień czerwcowy, jakiś niezwykły, odświętny. Szedłby do budy przez polane wodą ulice, przez pachnące zielenią Planty z rulonem papieru zawiniętego w liliową bibułę. Każde gimnazjum miało swój kolor, jego budzie przypadła barwa kwitnącego bzu. Miałby na sobie wyczyszczony i odprasowany mundurek (jeszcze kilka dni i ciśnie się w kął wszystkie mundurki, czapki i książki!), a w sercu dużo niepokoju i dużo jasnej nadziei. Spotykałby po drodze wiarę dążącą w tym samym celu do różnych mniej lub więcej okazałych budynków. Punktualnie o ósmej rano zasiadłoby się w ławkach czekając na belfrów, którzy też w tym dniu mieliby w sobie coś niezwykłego. Potem przyszyłyby godziny napięcia i wytężonej uwagi, odmierzane biciem serc uczniowskich i krokami spacerujących po sali profesorów. Po kieszeniach miałyby się ukryte „ściągawki”, nawinięte sprytnie na drewnienka zapalek, pełne wzorów, dat i skrótów. Wyszłoby się do ubikacji na papierosa, belfry w tym dniu już nic by nie miały przeciw paleniu, byłby to w ogóle jedyny taki dzień w życiu, trochę wprawdzie groźny, ale mimo wszystko przyjemny.

Tak wyglądałaby matura pisemna... — roił Paweł. Potem byłaby wielodniowa przerwa wypełniona wkuwaniem do egzaminu ustnego. Można by wtedy łązić po parkach i Ogrodzie Botanicznym, powtarzając półgłosem daty i formułki, a co wieczór z mieszaniną trwogi i nadziei skreślać jeden dzień w kalendarzu. Pewnego dnia przyszyłoby się do budy już po raz ostatni. Byłby to trochę niesamowity dzień Sądu Ostatecznego, przez który należało jednak przebrnąć z determinacją, jak przez przykrą wizytę u dentysty. I dopiero po tym wszystkim otrzymałby uroczysty uścisk dyrektorskiej dłoni i usłyszałby upragnione słowa o złożeniu egzaminu dojrzałości z wynikiem dodatnim! Wracałby do domu w gronie kolegów, komentując pytania i odpowiedzi, kpiąc sobie z przeżytego strachu, z cudownym, oszalamiającym poczuciem wolności. A na drugi dzień można by leżeć w łóżku nawet do dziewiątej! Byłby jeszcze komers, na który przyszyłoby zaproszeni nauczyciele, byłaby wspólna fotografia, a potem rozdanie świadectw. Matka na pewno miałaby łzy w oczach, bez tego by się nie obeszło, a ojciec klepałby go po plecach, starając się nie okazywać wzruszenia.

Wszystko jednak wyglądało inaczej. Paweł miał na sobie apteczny fartuch i do ostatniej chwili ucierał maść przeciwko świerzbowi.

Elżbieta Jackiewiczowa

[Elżbieta Jackiewiczowa, 1902-1976 – powieściopisarka, publicystka, pedagog, nauczycielka języka polskiego.]

Summa cum laude

Z powieści *Pokolenie Teresy*, Warszawa 1965. Przedruk z antologii *Pisarze o szkole*, Warszawa 1980.

Stół kuchenny do czysta wyszorowany. Julek wyskakuje co chwila do przedpokoju i wpuszcza pukających do drzwi. Kuksnie ich tam w mroku, wygłupi się, wykrzywi — znają się przecie jak łyse konie: Danek i Jurek razem, kiedyś — jak dawno to było? Jeszcze w tamtym świecie, który się pewnego wrześnieowego ranka zawalił — razem chodzili grzecznie do pierwszej gimnazjalnej. Od tego czasu upłynął tylko rok, ale jaki rok! Płakali z rozpacz, skręcali się ze strachu, głodowali, handlowali, wałęsali się bez celu po ulicach, wygrażali w duchu zwycięzcom i obiecywali im śmiertelny odwet, zaciskali zęby w bezsile, stawali godzinami w kolejkach po chleb, oglądali wystawy sklepów „Nur für Deutsche”, wstydząc się, że na widok tłustych gęsi, boczków i szynek ślina napływa im do ust, pogardzali sobą za łakomstwo, a nie mogli pohamować zwyczajnego, normalnego apetytu, szli spać niedosyceni i budzili się głodni. Zabijała ich pustka każdego dnia: nie było właściwie po co wstawać, co robić, poza nędznymi, godnymi „męskiej pogardy”, zajęciami, do których zapędzały ich matki, przy gospodarstwie domowym.

Więc teraz, kiedy wreszcie mają zacząć się uczyć, przyjmują to z niespodziewaną radością: wreszcie coś!

— Serwus, tajniaki! — dowcipkował Julek. — Nareszcie coś na złość Niemcom.

— Ja bym im co innego zrobił na złość, ale...

— Ale nie ma co na razie — mówił Jurek. — Nie wygłupiaj się.

— Ty! Masz wypisy z polskiego?

— No! Cały komplet, wszystko na klasę pierwszą i drugą.

— Po co na pierwszą? Będziemy robić drugą.

— A pamiętasz co z pierwszej?

— No chyba!

— Ja — nic a nic. Chyba już nawet pisać nie umiem.

— Powrotny analfabetyzm. Na skutek działań wojennych. Biedaku! Ogłupiło cię, to widać.

I Julek grubym, krótkim paluchem puka w czoło Danki.

— Ręce przy sobie — odpycha go Danek. (...)

— Czy musicie tak hałasować? — upomina chłopców pani Kasia. — Wiecie przecie, że pod nami mieszka folksdojcz. Chcecie, żeby was od razu nakrył? Julek, zrób miejsce dla Tereni, nie gap się.

Teresa siada grzecznie między Jurkiem i Dankiem. Z ceratowej torby, z której wychyla się zielona nać marchwi, wyjmuje zawinięte w papier książki i zeszyty.

Chłopcy czują się jakoś niezręcznie, milczą, chrząkają. Teresa rozkłada książki, milczy, spod oka obserwuje nowych kolegów. (...)

Pani Kasia wyszła, a w kuchni zapanowało na chwilę niezręczne milczenie.

— No to jazda — powiedział wreszcie Julek jakimś dziwnie grubym głosem i wysypał na stół kilka niklowych monet.

Nie zwracając — pozornie — uwagi na Teresę zaczęli znowu grać w przerwane przed chwilą cymbargaja. Było to coś w rodzaju futbolu na stole, tylko że zamiast piłki — monety, a zamiast kopania nogą — prztykanie palcami. Teresa oparła się obu łokciami o stół i patrzyła na razie obojętnie, dopóki nie zorientowała się w zasadach gry. Potem przestało jej wystarczać stanowisko kibica. (...)

Zabawa wrzała, a hałasowali tak, że znowu nie posłyszeli pukania i otrzeźwieli dopiero

w chwili, gdy pani Kasia wprowadziła do kuchni „pana Pe” (tak go później nazywali — skrót od: „Pan przyroda”).

Profesor „od biologii i geografii” był ogromnym, wysokim i barczystym mężczyzną. Wypełnił sobą prawie całą kuchnię. Miał twarz szeroką i płaską, tubalny głos, jedno ucho było jakieś nadgryzione czy naderwane, w każdym razie mniejsze i krótsze niż drugie, co bardzo zainteresowało chłopców. „Był marynarzem, nosił kolczyk w uchu i wyszarpnęli mu” — nakreślił na kartce Julek i podsunął Dankowi. „Nic podobnego — nagryzmołił Danek — żona mu urwała”. Julek parsknął śmiechem, a pan Pe warknął gniewnie:

— No, co tam?

Wyjął z kieszeni dwie cebule, duże i ostro pachnące.

— Ty — wskazał na Teresę — i ty — palcem w pierś Jurka — macie rozebrać na części tę, a wy dwaj — palcem trącił Julka w czubek nosa i Danka w ramię — tę drugą. I żeby cicho. I prędko.

— Jak to: rozebrać? — zapytała Teresa.

— Do roboty. Bez głupich pytań — warknął pan Pe.

Julek odsunął szufladkę stołu i wyciągnął noże.

Zabrali się do „rozbierania” cebuli i zaraz mała kuchenka wypełniła się nieprawdopodobnym zapachem, ostrym i słodkim, podniecającym głód.

— Płaczesz? — zadrwiła Teresa, trącąc Jurka w łokieć.

— Cicho tam — uciął pan Pe natychmiast.

„Julek, daj kawałeczek chleba! Błagam, bo umrę” — napisała na kartce i zerknęła wywiadowczo w stronę pana Pe. Wyciągnął z kieszeni niemiecką gazetę i zagłębił się w czytaniu. Teresa podsunęła kartkę pod zeszyt i pchnęła w stronę Julka. Danek i Julek obwąchiwali własne palce i robili miny wniebowziętych. Ich cebula, rozpaproszona na drobne listeczki, leżała gotowa. Julek z powagą odczytał kartkę, wykrzywił się niemiłosiernie i rozłożył ręce. „Zamknięty w skarbcu rodzinnym, mama - Cerber pilnuje” — odpisał, włożył pod zeszyt i pchnął w stronę Teresy.

— No, gotowe? — Pan Pe odłożył gazetę. — To opisać w zeszytach. I narysować. Już!

Znowu zasłonił się gazetą.

— Co narysować, panie psorze? — zaryzykowała Teresa.

— Hipopotama! — warknął pan Pe.

— Już się robi — oświadczył wesoło Julek i zaczął rysować coś dużego i owalnego, nie wiadomo, czy takich rozmiarów cebulę, czy hipopotama.

Jurek siedział pochylony bezradnie nad czystą kartką, Teresa chichotała, zerkając do zeszytu Jurka, Danek gapił się nie mogąc oderwać oczu od soczystych płatków rozbebeszonej cebuli. Był tak głodny, że aż go mdliło.

— Zapisać wnioski! — zakomenderował pan Pe.

— Jakie wnioski? — szepnęła Teresa do Jurka.

— Nie wiem, piszmy cokolwiek.

— Już? Pokazać pracę! — rozkazał pan Pe.

Rzucił kolejno okiem na zeszyty.

— Idioci! — powiedział dobitnie. — Nigdy was nie uczono obserwacji i wnioskowania? Ślepe szczenięta! No! Co widzisz tu, o tu? — podsuwał prawie pod nos Danka kupkę listków cebuli.

— Właściwie to nic szczególnego, panie profesorze. Po prostu płatki cebuli, jak do befsztyków. Tylko że befsztyków nie ma.

Pan Pe zdenerwował się na dobre. Złoszcząc się, pokrzykując i ciskając płatki cebuli — zaczął tłumaczyć i pokazywać.

Pod koniec lekcji zapisali wreszcie do zeszytów wnioski o cebuli. A ledwo profesor

wyszedł z kuchenki, zjedli wszystko do ostatniego płatka. O mało się przy tym nie pobili. Potem znowu grali w cymbergaja. (...)

Szłam smutna, głodna i zamyślona z targu do domu. Niosłam pół kilo cebuli i głowę kapusty, medytowałam, co i jak ugotować. Nagle ktoś mnie głośno pozdrowił, szeroko uchylając kapelusza. Był to mój dawny kolega ze szkoły, nauczyciel historii, Michał Małuja. Przystanęliśmy, zdawkowe „co słyszać”. Potem chwila milczenia. Nie było o czym mówić.

— Pani jest mizerna — powiedział Małuja.

— Normalne — mruknęłam.

— Wie pani o Natkańskich?

Natkański był matematykiem w naszej szkole. Pamiętam jego wysoką postać, dużą, łysawą głowę. Kiedyś ktoś z uczniów chlasnął na tę łysinę kleksem z atramentu w momencie, gdy Natkański pisał odwrócony do tablicy. Była potem burzliwa rada pedagogiczna, biedziliśmy się, co robić z tym niesfornym uczniem, głosowaliśmy „za” i „przeciw” wydaleni, a ja miałam za złe Natkańskiemu, że nie umiał być tak wielkodusznym, by głupi żart potraktować jak chwilowy „podszept szatana”, że nie miał dość poczucia humoru i zrobił z tego głupstwa rację stanu, a w konsekwencji spowodował wydalenie chłopca ze szkoły. Dąsałam się jakiś czas na niego, a on na mnie. A teraz...

— Wszystkich, całą rodzinę wywieźli. Żonę, dzieci. Już nie żyją, wszystkich rozstrzelali.

— Nie wie pan, o co chodziło?

— Nikt nie wie. Domyślamy się. Posądzano go pewnie o organizowanie jakiegoś spisku.

Bywało tam dużo młodzieży. Uczył.

— Jak to: uczył?

— No, proszę pani, zwyczajnie, po kilku w grupce.

— Zazdroszczę, ach, jak zazdroszczę!

— Gdyby pani też chciała... mógłbym ułatwić.

— Proszę, bardzo chciałabym.

— Oczywiście, to niebezpieczne, zakazane. Ale...

— Ach, za kawałek słoniny też grozi kara śmierci, a czy możemy nie jeść?

Tu przynajmniej człowiek by wiedział za co.

— To nie zmienia postaci rzeczy. Pani ma córkę.

— Tak — przestraszyłam się naraz, zawahałam.

— Niech pani się dobrze namyśli. Przyjdę za tydzień. Można? Jaki adres?

Jeszcze przed upływem tygodnia przyszedł ksiądz Stefan Grelewski, przyniósł ćwiartkę masła! Nie jadłyśmy masła od miesiący. Nie chciałam wziąć. Położył na oknie.

— Pani przecie wie, że ksiądz nigdy z głodu nie zginie. Nie ma się czego krępować. (...)

Ksiądz Gralewski był w porozumieniu z Małują. Razem organizowali, na razie jeszcze bardzo nielicznie i ostrożnie, grupki chłopców, którzy chcieli się uczyć.

— To wszystko nasi dawni uczniowie, bierzemy tylko tych, których dobrze znamy. Z różnych klas. Powstaje coś w rodzaju tajnego gimnazjum. Potrzebni są nauczyciele wszystkich przedmiotów, niektórych nam brak. Czy wzięłaby pani polski?

— Wezmę. Dańczaka nie ma? Nie macie polonisty?

— Nie, nie wrócił po wrześniu, osiadł chyba w Krakowie. Ale jest pani Maria Wróblewska, bierze niemiecki i francuski, tylko że już pracuje, wzięli ją na tłumacza do prokuratury niemieckiej, nie mogła się wykręcić. To zresztą może i lepiej, bo jest kryta, bezpieczniejsza. Niestety, pan Jan po paru miesiącach więzienia jest wykończony. Na razie otwiera perfumerię. Może zdecyduje się na parę lekcji, ale to wszystko za mało. Przed nami ciężka zima. Trzeba, żeby się chłopcy uczyli. Każdy nauczyciel na wagę złota.

— A dyrektor?

Dyrektor do nas nie należy. Para się dermatologią.

— Nie rozumiem.

— Handluje skórą. Cóż pani chce, nasze miasto to miasto garbarzy, a ludzie muszą nosić buty. Na razie więc funkcje dyrektorskie piastujemy we dwóch z Małują.

— Co będzie z łaciną, z fizyką, biologią?

— Pomaleńku. Naciągają poznaniacy, ci wysiedleni. Niektórych już poznałem, ale trzeba bardzo ostrożnie. No, będzie dobrze, uszy do góry!

Wieczorem Teresa zjadła trzy pajdy chleba z masłem. Za każdym razem certowała się i namawiała mnie do jedzenia, groziła, że jeśli ja nie, to i ona nie, ale w końcu... To było silniejsze od niej.

Ten wrzesień był dla mnie przełomowy. Byłam znowu potrzebna, moje istnienie miało jakiś sens. (...)

Ilość kompletów rosła. Brakowało nauczycieli. Niektórzy uczniowie musieli się uczyć w pojedynkę, nie można ich było dopiąć do żadnego zespołu. Pochłaniało to dodatkowe godziny, a jednak — trzeba było. Chodziło tu o chłopców starszych, mieszkających poza naszym miastem, często „spalonych”, ukrywających się gdzieś głęboko na wsi. Mogli dojeżdżać raz, najwyżej dwa razy w tygodniu. W ciągu tego dnia musieli dostać wskazówki, zdać przygotowany materiał, okazać odrobione ćwiczenia, dostać nowe zadania na cały tydzień. Dla takich chłopców miałam zarezerwowany jeden dzień w tygodniu. Mieszkałam tak blisko dworca, że natychmiast po przyjeździe wpadali do mnie, a ode mnie biegli kolejno do innych nauczycieli, żeby móc przed wieczorem zdążyć na pociąg. Uczyli się na ogół poważnie, solidnie, uczciwie. Matury zdawali *summa cum laude*. I kryli się potem gdzieś w lasach, nieraz już do końca wojny ich nie widziałam.

Bohdan był wysoki, dorodny, opalony, włosy miał koloru pszenicy. Był szeroki w barach i wąski w pasie jak klasyczny model bożka. Skierowała go do mnie jedna z miłych moich uczennic, Lilka z ulicy Mlecznej. To ona wyciągnęła kiedyś Bohdana ze szpitala, kiedy jako jeniec leczył tam przestrzelone pod Kockiem ramię. Przez nią otrzymał pierwsze partie twardej skóry i wyruszył z tym na handel na wieś. Udało się. Miał już z czego żyć. W dalekiej wiosce pod Wierzbicą znalazł zyczliwy dom, ciepłą izbę, serdeczne serca. Zamieszkał tam na stałe. A że wioska była dookoła otoczona lasami — więc wszystko zrozumiałe. Dopiero po paru latach tej leśno-wojennej wegetacji Bohdan przypomniał sobie, że poszedł na wojnę po ukończeniu pierwszej licealnej. Faktycznie pełnił tam w lesie obowiązki oficera i instruktora, ale — na wszelki wypadek — trzeba było tajną gwiazdkę oficerską podeprzeć maturą. (...)

Dołączyłam Bohdana do Janusza spod Skarżyska, który też raz w tygodniu mógł dojeżdżać i też przygotowywał się do matury. Był to zespół zwany przez Teresę kompletem „pięknych”, gdyż i Janusz wyróżniał się wyjątkową urodą. Tak samo jak Bohdan wysoki, był jednak delikatniejszy, szczuplejszy, a włosy miał ciemne, zawsze lekko nad czołem sfalowane. Obaj chłopcy ubrani byli niemal identycznie, według jakiejś niepisanej mody dla elegantów czasów okupacyjnych: samodziiałowe marynarki, bryczesy i wysokie, lśniące buty, tak zwane „oficerki”.

Zaprzyjaźnili się ze sobą, razem uczyli się, razem mieli zdawać maturę.

Ledwo wychodzili „piękni”, już pukali do drzwi ci z Jedlni: jeden — drobny, delikatny, głęboki, poważny i odpowiedzialny, drugi wesoły, dowcipny, spryciarz nie z tej ziemi, wiecznie czymś handlujący, zawsze mający za dużo pieniędzy i za dużo humoru. Ci dwaj uzupełniali się na zasadzie kontrastu, a uczyli się dobrze i chętnie. Potem wpadał na rowerze zziąjany Heniek ze Zwolenia. Ten uczył się zupełnie sam — zaczął ze spóźnieniem, zależało mu na pośpiechu, nie chciał ani przerw wakacyjnych, ani świąt, chciał czym prędzej zdać maturę. Heniek nie był za bardzo zdolny, ale nadrabiał sumiennością i pilnością, a przy tym zawsze pogawędził z Teresą, zawsze dopytał się, czego nam brakuje, zawsze coś tam z teczki

wyciągał i niezmiennie zapraszał Teresę do siebie na wyżerkę.

Jeszcze Heniek przekomarzał się w kuchni z Teresą, kiedy do stołu zasiadało rodzeństwo z Białobrzegów, potem znowu dwaj przyjaciele z Pionek, znowu samotnik spod Skarzyska, potem Włodek zza Jedlińska i Edek spod Iłży.

— Co to u pani taki ruch z tymi młodziami? — warczał właściciel naszego domku. — Teraz takie czasy... Ja tam odpowiadać nie będę.

— No cóż, proszę pana, mam córkę. To do niej zbiegają się chłopaki.

— E tam... — niedowierzająco mruzczył gospodarz.

— Naprawdę, proszę pana. Cóż mam zrobić, dziewczyna się podoba, ma powodzenie. W końcu przecież kiedyś musi wyjść za mąż — klepałam, choć nie wierzyłam, bym mogła kogokolwiek tą bajeczką przekonać.

— Za mąż, za mąż! Żeby przypadkiem nie okazało się, że my wszyscy będziemy za to wesele płacić. Ja, proszę pani, uprzedzam.

Ponieważ przez następne sześć dni ja biegałam na lekcje, gospodarz uspokajał się. Po tygodniu znowu ten dzień przyjezdnych i znowu ostrzeżenie gospodarza. Ale co było robić? (...)

Pierwsze matury mieliśmy już za sobą. Odbływały się z całą możliwą dla nas w owych czasach paradą: jakiś stół zasłany serwetą, kwiaty, komisja przy stole. Obok na jakimś małym stoliku rozłożone karty do brydża — na wszelki wypadek. Niemcy pobłażliwie traktowali karciarzy i pijaków — przypuszczali widocznie, że ten typ namiętności wyklucza wszelkie szkodliwe dla Trzeciej Rzeszy zaangażowanie uczuciowe. Ponieważ w ówczesnym gronie nauczycielskim przeważały kobiety, wybrałyśmy raczej rolę brydżystek czy pokerzystek — alkoholowe libacje byłyby mniej prawdopodobne i trudniejsze dla nas do odegrania.

Młodzież starała się strojem zaznaczyć, że matura to uroczysty moment. Więc choćby biały kołnierzyk, choćby chusteczka w kieszonce marynarki. Rezultaty komisyjnego egzaminu ogłaszaliśmy uroczystie, wstając z miejsc, do dawnej formułki. „Państwowa komisja egzaminacyjna...”, dodając jedynie na początku wyraz „tajna”. Ogarniało nas wzruszenie niewysłowione, niemożliwe dziś do odczucia, nawet do odtworzenia w pamięci, na dźwięk tego wyrazu: „państwowa”, wyrazu mówiącego o naszym narodzie, o naszych nadziejach, o naszej wierze w przyszłość tej osaczonej, ściganey i poniewieranej młodzieży, której wróg odmówił prawa do nauki.

Nie wygłaszaliśmy mów, unikaliśmy patetycznego i uroczystego języka. Wszystko to było niepotrzebne — patetyczne były same czasy i dostatecznie uroczysty był sam fakt matury.

Szczególną radość sprawiał mi nowy narybek: kandydaci do pierwszej gimnazjalnej. Maluchy z czuprykami na jeża i odstającymi uszami, łobuzy spod ciemnej gwiazdy, wesołki nieposkromione. Na pierwszej lekcji aż pękali od poczucia ważności: coś tajnego, coś przeciw okupantowi! Silili się na powagę, nawet uśmiech uważali za coś nie na poziomie taaakich konspiratorów. Ale potem... Czego tam nie było? I kasztany po kieszeniach, i kopniaki w kostkę pod stołem, i walki francuskie w przerwach, między wyjściem jednego a przyjściem drugiego nauczyciela, i wykręty typu „paluszek i główka”, i karykatury belfrów między zadaniami z matematyki, i ściągawki, i nawet wagary... Były to komplety i bezpieczniejsze, bo ostatecznie, czym mogą Trzeciej Rzeszy grozić tacy malcy, i bardziej niebezpieczne, bo hałaśliwsze, mniej opanowane, niesforne, gadatliwe. Zdarzało się, że krzyczeli do siebie z jednej strony ulicy na drugą:

— Te, Olgierd, przyjdę do ciebie odrabiać łacinę!

— Jarek, a jak z historią?

— Wiesiek, przynieś na polski album z widokami Krakowa!

— Serwus, Tadek, daj mi ściągnąć streszczenie *Iliady*!

Utrzymanie dyscypliny wśród pierwszaków było dodatkowym obciążeniem dla nas, nauczycieli. Biegaliśmy od rana do wieczora, od domu do domu, od kompletu do kompletu, czasem z jednego krańca miasta na drugi — w śródmieściu mieszkali prawie sami Niemcy, polskie rodziny wysiedlano po kilka razy do coraz odleglejszych dzielnic i coraz mniejszych mieszkań. Pamiętam komplet, na którym deska do prasowania zastępowała stół — prawdziwego stołu nie było gdzie wcisnąć. Pamiętam inny, w pracowni krawieckiej, między manekinami i wieszakami pełnymi gotowych niemieckich mundurów.

Bywaliśmy nieludzko zmęczeni, ale czuliśmy się potrzebni, a to był jedyny rodzaj szczęścia wówczas nam dostępny. Bywały jesienią całe tygodnie, kiedy chodziłam z mokrymi, zziębniętymi

nogami. Nie miałam butów na zmianę, podsyczały trochę w nocy, rano trzeba je było, sztywne i wilgotne, wtłoczyć na nogi. Potem namakały znowu na ulicy, a pod wieczór już wyraźnie chlupotały. Mimo to nie pamiętam, żebym miała kiedy katar lub grypę. Od czasu serii głodowych wrzodów aż do końca wojny nie chorowałam ani razu.

Do domu zapędzała nas dopiero godzina policyjna. Ciekawam, czy gdyby nie było tego przymusu, uczylibyśmy także w nocy? Kiedy wiosną 44 roku Niemcy ogłosili godzinę osiemnastą jako policyjną (w biały dzień!) — ukradli nam czas potrzebny do obsłużenia dwóch kompletów. Zrywaliśmy się wówczas o czwartej rano i jeszcze w mroku biegliśmy na pierwsze lekcje. O piątej rano siedzieliśmy już nad książkami, żeby na siódmą rano chłopcy pracujący w fabrykach mogli biec do pracy. Pamiętam te zapachy natłoczonych izb sypialnych, których nie zdążono uprzątnąć i wywietrzyć przed lekcjami. Pamiętam też, że wówczas parę domów wprowadziło zwyczaj podawania porannej herbaty uczniom i nauczycielom — nikt przecie nie zdążył u siebie przed świtem zjeść śniadania, nikt zresztą o tej porze nie mógłby chyba nic przełknąć. Te śniadania bywały bardzo skromne: herbata z marchwi i kartkowy chleb z kartkową marmoladą, ale to było wspaniałe intermezzo! A poza tym dla nas, nauczycieli, był to często jedyny posiłek aż do wieczornej godziny policyjnej — nie co dzień mieliśmy możliwość wpaść do siebie na jakiś tam krupnik czy kapuśniak. Pamiętam, że u Jurka podawano nam chleb z boczkiem lub gęsim smalcem, posypanym solą. Coś wspaniałego!

Bywały rozmaite niespodzianki — ocieraliśmy się o niebezpieczeństwo i wyslizgiwaliśmy się jakimś szczęśliwym trafem, nie wiadomo jak, nie wiadomo dlaczego. Raz, kiedy właśnie siedzieli u mnie „piękni”, podniosło nas na nogi gwałtowne stukanie do drzwi. Tak stukać mogli tylko Niemcy: brutalnie, gwałtownie, prawie wyważając drzwi. Pobiegłam otworzyć — i skamieniałam. Prosto w oczy patrzyła na mnie lufa pistoletu. Zamarłam bez ruchu i nie rozumiałam, co wrzeszczy właściciel owej strasznej lufy, niemal uderzającej mnie w czoło. Rzuciłam okiem w bok — nie wiem, czy w nadziei ratunku, czy po prostu, żeby odwrócić oczy od groźnej broni — i zobaczyłam przez szybkę werandy, że w bramie stoi dwu, a na środku dziedzińca jeszcze jeden uzbrojony Niemiec. Przy jego bucie warował pies, wilczur. Ten wrzeszczący na mnie na progu Niemiec, widząc, że zupełnie oniemiałam, odtrącił mnie i wpadł do kuchni. Ja za nim. Nagle mój wrzeszczący nadczłowiek rzuca się niemal na czworaki, nie mogę zrozumieć, o co chodzi, aż widzę, że unosi klapę w podłodze, klapę prowadzącą do piwnicy. Pod nami czarny otwór ziejący ziemniaczanym odorem. Niemiec gestami i wrzaskiem zmusza mnie, bym zeszła do piwnicy. Schodzę. Czy tam mnie zastrzelili? Schodzi za mną, potyka się w ciemnościach, bez przerwy wrzeszczy, trąca mnie lufą pistoletu, omiata światłem latarki kieszonkowej kąty piwnicy, zawraca, popycha mnie przed sobą na schodki, wylazimy do kuchni — Niemiec z hukiem zatraskuje klapę i pędzi do pokoju. „Teraz koniec — myślę — zabierze mi chłopców”. Sunę za nim. A moi „piękni”, jak dwa grzeczne aniołki, grają w warcaby. Miny zdziwione, niewinne. Niemiec uważnie ogląda ich twarze, podbiega do okna, wychyla się, omiata oczami pokrzywy, zarośla, znowu coś wrzeszczy. Teraz już rozumiem ten wyraz: *Jude, Jude!*

— *Was für Jude?* — pytam już teraz prawie przytomna.

— A uciekł nam tu jeden! Prowadziliśmy to draństwo z pracy i uciekł! Ale ja go jeszcze dostanę w swoje ręce!

Wybiegł, głośno hałasując butami.

— No, już czyste powietrze! — śmieje się Janusz.

— A tego Żyda dostaniesz w swoje ręce, jak rak świśnie za morze! — kpi Bohdan.

Dopiero teraz czuję, że nogi mam jak z kisielu i czoło mokre od potu. I — aż wstyd przyznać się dzisiaj — nachylam się, obejmuję jedną ręką Bohdana, drugą Janusza, całuję ich kolejno w czoła, w policzki. Teraz dopiero spod powiek wymykają mi się łzy upokorzenia i bezradności, może łzy strachu, kiedy już nie ma czego. Po chwili wracam do normy, mówimy o Słowackim, Beniowskim, a moi „piękni” recytują wybrane przez siebie dygresje. Mówi Bohdan:

...wierzę,
Że ludy płyną jak łańcuch żurawi
W postęp... że z kości rodzą się rycerze,
Że nie śpi tyran, gdy łożę okrwawi
I z gniazd najmłodsze pisklęta wybierze,
Że ogień z nim śpi i węże, i trwoga...
Wierzę w to wszystko...

Jerzy Szczygieł

[Jerzy Szczygieł, 1932-1983, pisarz, autor książek dla młodzieży i dorosłych; w 1945 r. na polach minowych nad Wisłą stracił wzrok. W 1957 ukończył filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim. W dorobku literackim Jerzego Szczygła na szczególną uwagę zasługuje cykl czterech powieści, których akcja rozgrywa się pod koniec wojny i tuż po wyzwoleniu. Były to wydane w latach 1960-1976: *Tarnina*, *Ziemia bez słońca*, *Nigdy cię nie opuszczę* i *Po kocich łbach*. Ich bohaterem jest chłopiec Tadeusz Różański, który wyrwany ze świata dzieciennych zabaw, znajduje się nagle w brutalnym świecie dorosłych. Przedwcześnie osierocony, opiekujący się młodszym bratem, pozbawiony wzroku na skutek wypadku z niewypałem, musi stawić czoło problemom dnia codziennego, które niejednokrotnie przygniotłyby dojrzałego człowieka. (Z Wikipedii)]

Dopalające się drzewa

Fragment powieści *Dopalające się drzewa*. Przedruk z antologii *Pisarze o szkole*, Warszawa 1980.

Powietrze było niebieskie od zmierzchu. Po tygodniowych roztopach znów chwycił mróz idący od wschodu. Szedłem przez miasteczko, już nie pamiętam dokładnie, dokąd. Tuż przede mną płacząc się niezdarnie na oblodzonym chodniku, kroczył przygarbiony i opatulony staruszek. Trochę mi żal było tego człowieka. W każdym jego ruchu czułem tyle lęku przed upadkiem. Figurka wyglądała na wpół komicznie, mimo woli więc uśmiechnąłem się. Nie wpadło mi do głowy, by podejść i pomóc mu. Włokłem się z tyłu i obserwowałem.

Wiatr niby olbrzymi przeciąg wiał ulicą obrzeżoną parkanami. Miałem już wyminąć staruszka, kiedy gwałtowny podmuch zerwał mu kapelusz i poniósł w głąb ulicy. Trochę śmieszny wydał mi się, kiedy tak stał z wyciągniętymi za kapeluszem rękami. Było to jakby błaganie, aby kapelusz nie uciekał. Kiedy przenieśliem wzrok z owych wyciągniętych dłoni na jego łysą głowę, żałośnie odcinającą się bielą od niebieskiego powietrza, poznałem naraz kierownika szkoły. I wtedy pognałem za kapeluszem. Zabawa trwała bez końca. Kiedy go dopadałem, wiatr znów go podrywał. I tak aż do zakrętu. Dopiero tam zdołałem przygwoździć go butem.

Pędem wróciłem do kierownika. Stał na tym samym miejscu, osłaniając głowę dłońmi we włóczkowych rękawicach. Wziął kapelusz i dłuższą chwilę patrzył mi w oczy, aż zrobiło mi się głupio, spuściłem głowę. Przypomniał mnie sobie. I ja pamiętałem dokładnie ostatnią rozmowę z nim na kilka dni przed otrzymaniem świadectwa z czwartej klasy. Powiedział wówczas, że dostanę promocję, ale niezupełnie zasłużoną. Jaki się wtedy czułem poniżony!

Stojąc tak przed kierownikiem, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że i on myśli o owej rozmowie. Już miałem skłonić się i odejść, kiedy przytrzymał mnie za ramię i zwyczajnie powiedział, bym go „doholował do domu”.

— Całe szczęście, uratowałeś mi żagiel.

Zawsze lubił marynarskie porównania. Prowadziłem go trochę przejęty, a on tymczasem skarżył się, że jest już „starym wrakiem i w czasie takiego sztormu bez holownika czuje się jak skorupka jajka na fali”.

Byłem trochę zaskoczony jego gadatliwością. W szkole uchodził za posępnego mruka, rozstrzygającego sprawy częściej skinieniem głowy lub ręki niż słowem. Pomimo zmienionych okoliczności wciąż czułem się jak uczeń przed profesorem.

Przy furtce wiodącej do jego domku spytał mnie znienacka, czy chciałbym się uczyć. Nie od razu zrozumiałem, o co mu chodzi. Przecież w szkole Niemcy urządzili prowizoryczny szpital dla rannych ze wschodniego frontu.

— No? — zawiesił głos.

— Bardzo bym chciał — powiedziałem.

— Przyjdź tu jutro o czwartej — rzekł.

I nie tłumacząc nic bliżej, zatrzasnął furtkę i już pewnym krokiem ruszył ku drzwiom. Nie obejrzał się.

Słyszałem o tajnych kompletach, ale wiedziałem, że za nie trzeba płacić. Z tego utrzymywali się wszyscy nauczyciele od lat pozostający bez pracy. Nienawidziłem szkoły, lecz pociągała mnie wiedza, dlatego w napięciu czekałem następnego dnia.

Punktualnie o czwartej byłem pod drzwiami profesora. Nie śmiałem zapukać. Na szczęście do ganku zbliżyła się jakaś dziewczyna i mierząc mnie czarnymi oczami spod nisko nasuniętej czapki, śmiało wbiegła na stopnie i zapukała. Prawie od razu uchylły się drzwi. Dziewczyna, patrząc nieprzyjaźnie na mnie, wślizgnęła się do środka. Czułem się podle. Już chciałem wiać, ale zza drzwi wyjrzała łysa głowa kierownika.

— Wejź! — rozkazał.

Potknąłem się na progu i z przerażeniem stanąłem na wyglansowanej podłodze przedpokoju. Ze zdenerwowania nie wytarłem butów. Na lśniącej posadzce powiększały się dwie wielkie plamy tającego śniegu.

W przedpokoju było więcej osób. Profesor już gdzieś zniknął. Gromadka chłopców i dziewczyn, których później naliczyłem dziesięcioro, stała pod drzwiami wiodącymi w głąb mieszkania, szepcząc coś między sobą i obserwując mnie spod oka, nieufnie. Czułem wrogi mur. To mnie paraliżowało. Nie wiedziałem, co robić. Dziewczyna, która weszła ze mną, zdjęła tymczasem czapkę i powiesiła palto. Odwrócona tyłem, poprawiała włosy białymi, cienkimi palcami. Nie przyłączała się do reszty, lecz i mnie traktowała jak powietrze. Nie cierpiałem jej bardziej niż tamtych.

Ukradkiem spojrzałem na wyjściowe drzwi. Zamknięte były od wewnątrz na łańcuch i zamek. Pochwycili to moje spojrzenie. Ktoś się zaśmiał. I wówczas wstąpił we mnie diabeł. Jednym ruchem ramion strząsnąłem z siebie kapotę i bez wahania zawiesiłem na tym samym haku, na którym Czarnooka zawiesiła swoje palto. Czapkę wepchnąłem do rękawa i z dłońmi w kieszeniach podszedłem do gromady. Rozepchnąłem ich trochę za gwałtownie i zapukałem do drzwi.

Najwyraźniej zbaranieli. Znikły kpiące uśmieszki i mądre miny, mieli po prostu głupkowate, szczerze gęby. Akurat usłyszałem z głębi wołanie:

— Proszę!

W porywie odwagi pierwszy wkroczyłem do pokoju. Długi stół, dookoła krzesła, na ścianie szkolna tablica. Obok, na maleńkim pulpicie miniaturowa kula ziemiska. Profesor siedział u szczytu stołu, w wygodnym fotelu. Skinął na mnie, bym siadł tuż przy nim, po jego lewej ręce. Z dłonią uniesioną na wysokość brody czekał, aż ustaną szurania krzeseł i zapanuje cisza.

Uczniowie wyciągnęli zeszyty, pióra, książki. Ja jeden nie miałem nic. Wszyscy wstrzymali oddech. W tym skupieniu opuściła mnie nagle odwaga. Żałowałem przyjścia, gdyż rozumiałem, że na tym właśnie tle wyglądałem jak gbur, który dostał się tu jedynie przez pomyłkę.

Kierownik bez żadnych wstępów rozpoczął lekcję historii. Głos miał głęboki, schrypnięty, co kilka zdań przechodzący w falset. Mówił o dynastii Jagiellonów. Kilkakrotnie przerywał wykład dla podyktowania jakichś zdań. Wówczas skrzypiały stalówki. Tylko ja jeden siedziałem beczynn timer.

W miarę jak profesor opowiadał, rozpraszał się mój podły nastrój. Uczepiłem się oczami jego warg i zapominając o wszystkim chciwie chwytałem każde zdanie. Parę razy nasze spojrzenia spotkały się. Pojmowałem, że coś we mnie aprobejuje, ale co, nie umiałem sobie uświadomić. Dziś wiem, że podobała mu się moja napięta uwaga, ożywiła go, budziła zapał; mówił jasno, zajmująco, barwnie, jak gdyby to nie była zwykła lekcja historii, lecz fantastyczna opowieść o półdzikim królu Jagielle, który dał początek panującej dynastii.

Kiedy skończył, byłem niepokieszony. Wstał ociężałe z fotela, zabrał gruby notes i odszedł. Zerknąłem na twarze. Były rozognione. Widocznie słuchali z takim samym zainteresowaniem.

Potem nastąpiły dwie lekcje matematyki z jakąś nie znaną mi nauczycielką. Na koniec było długie dyktando z polskiego. Czarnooka dziewczyna, nie patrząc na mnie, podsunęła mi swój zapasowy zeszyt i ołówek.

Nakładając w przedpokoju kapotę, byłem jak pijany. Mieszały mi się w głowie zdania i liczby, a mimo to żałowałem, że to koniec, że trzeba odchodzić. Już od progu przywołał mnie profesor.

— Przeczytaj to — powiedział i wsunął mi do ręki książkę obłożoną w szary papier. — No i przyjdź jak dziś.

Nad miasteczkiem czerniała noc. Ściskając książkę w dłoni, biegłem do domu przejęty zamiarem podzielenia się z kimś swoimi wrażeniami.

— Gdzieś się tyle włóczył? — gniewnie przywitała mnie matka.

— Byłem w szkole! — wykrzyknąłem.

— Gdzie? — nie zrozumiała.

— Na lekcjach.

Wzruszyła ramionami. — Przestałbyś pleść, siedziałbyś w domu — mruknęła, ale czułem, że jest zbita z tropu i nie bardzo wie, co o tym sądzić.

Po kolacji wziąłem lampę, wlałem za piec i zabrałem się do czytania. Książka nie miała karty tytułowej. Zaczynała się od słów: „W gospodzie Pod Lutym Turem...” Po kilkunastu stronach już żadna siła nie byłaby w mocy zmusić mnie do odłożenia książki. Wypaliła się nafta. Po omacku znalazłem butelkę i napełniłem lampę. Nawet nie pomyślałem o śnie. Chwilami ocierałem łzy, to znów zaciskałem pięści, przeżywając po raz pierwszy w życiu tak głęboko losy bohaterów książki.

W domu zaczęła się ranna krzątania, a ja ciągle jeszcze czytałem. Z przerażeniem odwracałem kartki. Chciałem, by powieść trwała bez końca. (...)

Możliwe, że gdyby nie książki, przestałbym chodzić na komplety, bowiem ciągle jeszcze wisiła nade mną swoista atmosfera odosobnienia. Chociaż nie czułem się gorszy od innych, to jednak często musiałem sobie tłumaczyć powtarzać, że rzeczywiście nie jestem gorszy. To nie było łatwe. (...)

Wytrwałą pracowitością zdołałem uzupełnić wiele dziur w swojej wiedzy, mimo to często zdarzało się, szczególnie na lekcjach matematyki, że ani rusz nie mogłem rozwiązać prostego zadania. W takich przypadkach nauczycielka zaczynała zezować, robiła cierpkie uwagi, chociaż w ogóle faworyzowała mnie trochę. Nie mogła jednak zapanować nad sobą, gdy ktoś z nas potknął się nawet na błahym szczególe. Była to dla niej osobista obraza. Miała sentymentalną naturę. Lubiła robić dygresje na temat wyjątkowej sytuacji i atmosfery, w jakiej pracuje nasz zakonspirowany komplet. Uważała to za piękny patriotyczny obowiązek i każde niedbalstwo traktowała prawie jak zdradę. Nic dziwnego, że kiedy zjawiała się w pokoju, drżeliśmy, przypominając sobie rozpaczliwie wszystkie wzory i reguły matematyczne. Te jej dygresje i drażliwość działały na nas niczym ostroga.

Komplet miał trwać od jesieni do końca następnego roku kalendarzowego, z krótką przerwą, i obejmował w praktyce program szóstej i siódmej klasy. Wszyscy już mieliśmy po czternaście lat. W tej sytuacji musiałem uzupełnić nie tylko wiadomości z klasy piątej, ale również z szóstej. Nie przyszło mi to łatwo. Nieraz zaciskałem zęby, by móc strawić upokorzenie i wytrwać.

Zawdzięczam to staremu profesorowi. Musiał wiedzieć, co się ze mną dzieje i ile jest we mnie strachu, gdyż najrozmaitszymi metodami zmuszał mnie do przychodzenia na lekcje, nakazując na przykład, bym koniecznie przed kompletem odniósł książkę, to znów prosząc, bym zjawił się nieco wcześniej i pomógł w pracach przy gospodarstwie. Co prawda nie wierzyłem, by zależało mu na tych drobnych moich usługach, jak porąbanie wiązki drzewa czy przyniesienie ze składziku węgla, ale wmawiałem w siebie, że właśnie mu zależy, czując odruchowo, że to moje złe samopoczucie, ten kryzys jest chwilowy i w końcu minie.

Chłopcy i dziewczęta, z którymi się uczyłem, należeli do zamożniejszych rodzin w miasteczku. Płacili za lekcje i zachowywali się z pewnością siebie. Gdybym rozpoczął naukę razem z nimi, prawdopodobnie nie czułbym się jak intruz, a przynajmniej w mniejszym stopniu, a tak do upokorzeń wynikających z mojego niedouczenia dochodziła jeszcze krępująca mnie sytuacja materialna. Zresztą powiem sprawiedliwie i bez złośliwych intencji, że zasmakowali w podkreśleniu mojej odrębności. Nie reagowałem na złośliwe uwagi w czasie przerw i nie próbowałem przełamać swojej izolacji. Udawałem obojętnego, ale kosztowało mnie to niejedną gorzką chwilę. Na pewno gdybym okazał się matole, prędzej by mnie przyjęli do swego grona, ale że w niedługim czasie zaćmiłem wszystkich zdolnościami do rysunków i stałem się prymusem z przedmiotów wykładanych przez profesora, czuli

do mnie zawiść. Odplacali mi za to z nawiązką podczas godzin matematyki.

Najgorsze były spojrzenia Czarnookiej. Miała irytujący zwyczaj oglądania moich paznokci. Zaciskałem dłonie w pięści, nakazywałem sobie spokój, ale wszystko na nic. Kiedy zaczynałem na tablicy lub w zeszytach rozwiązywać zadanie, natychmiast na koniuszkach swoich palców czułem jej złośliwe spojrzenie. Początkowo nie wiedziałem, o co jej chodzi. Myłem starannie ręce, obcinałem paznokcie aż do skóry, przekonany, że usunę przyczynę natarczywych oględzin. Oczywiście na próżno. Żadne szorowanie aż do bólu nie mogło pomóc. Ołówek i kreda wypadały mi z palców. Nauczycielka zezowała, niekiedy wybuchała złością. Byłem bezradny, a klasa dławiała się od hamowanego śmiechu.

W rezultacie znenawidziłem Czarnooką. Niekiedy myślałem o zemście — zimnej zemście, a jednocześnie z wolna budziła się we mnie zawzięta ambicja, by wyprzedzić wszystkich i stać się pierwszym uczniem. Ta ambicja przemieszana z podnieceniem wiosennym prześladowała mnie tak długo, że któregoś dnia nie wytrzymałem: zaraz po lekcjach — zapadł właśnie zmierzch — wybiegłem pierwszy, przyciłem się w pobliżu domu Czarnookiej i gdy nadeszła, wymachując teczką, wyskoczyłem z ukrycia i stanąłem przed nią.

— Głupia jesteś! — rzuciłem. — Ty i oni!

Jej przerażenie szybko minęło. Uśmiechnęła się, wyszczerzyła zęby.

— Głupia jesteś! Po stokroć głupia! głupia! Będę pierwszy, zobaczysz!

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Nagle zwariowałem. Nim zdołała zrobić jakikolwiek ruch, przechyliłem się i pocałowałem ją w roześmiane usta. Uciekłem, nie obejrzawszy się ani razu.

I tak wpadłem w zasadzkę, którą sam przygotowałem. Nie da się opisać tego, co przeżyłem przez następną dobę. Czułem się podwójnie ośmieszony. Jeszcze to naiwne wyzwanie całej klasy było niczym w porównaniu ze wstydem, jaki mnie piekł na wspomnienie pocałunku. Doprowadziłem się do szczytu samoudręczenia. Gotów byłem pójść i błagać Czarnooką o przebaczenie. Jednocześnie dostrzegałem w sobie coś w rodzaju cichej radości, że stało się właśnie tak. Rozpalało to moją wyobraźnię. Gotów byłem poddać się najcięższym torturom, byle ona zechciała mi wybaczyć. Ani chwili nie żałowałem swego zuchwalstwa, nawet nic sobie nie wyrzucałem, tylko poddawałem się niepoahamowanej rozpaczce.

Czarnooka nie była dla mnie kobietą, ale dziwnym jakimś, niepojętym światłem, które ja tak zuchwale na moment ośmieliłem się przygasić. Inaczej nie można określić tego mojego wyobrażenia o niej. Ruchome, nieuchwytnie światło — to chyba najbardziej oddaje moje wrażenia i moje myśli o niej. (...)

Nauka szła mi teraz z wielkim trudem. Myśli nieustannie wracały do Czarnookiej. Z nienawiści, jaką do niej żywiłem, nie zostało ani okruszyny. Brakowało mi jej złośliwych spojrzeń, a rozmowy, jakie z nią toczyłem w myślach, ograniczyły się do kilku zaledwie nieśmiałyich życzeń. Pragnąłem, by kiedyś sama zaproponowała mi spotkanie. Chciałem jej pokazać Jaworowe Wzgórze z resztkami szałasów, w którym spędziłem noc; wikliny nad rzeką, gdzie spotkałem obłąkaną w czerwonej sukni, piaszczyste urwisko — tam tyle razy łowiłem ryby. W moich wyobrażeniach te miejsca najbardziej nadawały się do takich spotkań. Byłem przekonany, że gdybym znalazł się z nią w jednym z nich, stałbym się kimś zupełnie odmienionym. Tam mógłbym ją olśnić fantastycznymi opowieściami o swoich przygodach. A przede wszystkim bez świadków umiałbym zwierzyć się jej ze swych przeżyć. (...)

Minął maj. Kończył się czerwiec. Nadchodziła miesięczna przerwa w lekcjach. A moje marzenie o spotkaniu utknęło na martwym punkcie. Wreszcie nie było już na co czekać.

Idąc na ostatni przedwakacyjny komplet, niosłem w kieszeni list, który postanowiłem wręczyć w odpowiedniej chwili Czarnookiej. Ten list miał rozstrzygnąć o wszystkim.

Specjalnie zjawiłem się pierwszy. Stałem w przedpokoju gorączkowo obserwując wejściowe drzwi. Uczniowie przychodzili pojedynczo. Wprawdzie uliczka leżała na uboczu miasteczka i rzadko tu pokazywali się Niemcy, ale zalecenie kierownika było wyraźne i nikt nie śmiał go łamać. Gwar w przedpokoju powiększał się, w końcu wybiła czwarta. Byli już wszyscy oprócz Czarnookiej.

Przyszliśmy bez książek. Zamiast podręczników przed każdym z nas postawiono porcelanowy talerzyk, a pośrodku tacę z kruchymi ciastkami i olbrzymią salaterkę truskawek. Nauczyciele siedzieli u szczytu stołu. Twarze uśmiechnięte, pogodne. Pokój tonął w słońcu. Tylko ja jeden siedziałem ponury. Co chwilę spoglądałem na drzwi. Wytężałem słuch, czy nie zaskrzypią schodki na ganku.

Niewiele zrozumiałem z przemówienia profesora. Tylko jedno zdanie dotarło do mnie i głęboko mną wstrząsnęło.

— Aresztowali ojca Anki i dlatego dziś nie przyszła.

Mój talerzyk był czysty. Inni jedli z apetytem ciastka i truskawki, ciesząc się oczekującym ich miesiącem pełnej swobody. Kiedy nauczyciele wstali, dając znak do rozejścia się, chciałem wyjść nie zauważony, ale profesor zawołał mnie i gdy zostaliśmy sami, położył mi swoją suchą dłoń na ramieniu i długo patrzył mi w oczy.

— Dobrze — rzekł. — Nawet bardzo dobrze. Tylko nie trzeba się śpieszyć. Tobie się tylko zdaje, że zabraknie ci czasu, rozumiesz?

Nic nie rozumiałem. Odszedłem przygnębiony, pusty. Kiedy wracałem, mimo woli popatrzyłem na dom Czarnookiej. Okienne były zamknięte, a przy furtce wisiała ciężka kłódka. Ogród i wszystko dookoła wydało mi się posępne, opuszczone. (...)

W sierpniu rozpoczął się komplet. Kiedy pierwszy raz przestępowałem próg domku profesora, ludziłem się, że spotkam Czarnooką. Rzeczywiście ludziłem się. Nie przyszła tego dnia ani w ciągu najbliższych. Ostatecznie straciłem nadzieję ujrzenia jej kiedykolwiek.

Kiedyś w niedzielę wracałem z miasta. Jak zwykle popatrzyłem na dom Czarnookiej. Serce zabiło mi szybko. Okienne były odsłonięte, drzwi szeroko otwarte. Przed gankiem kręcili się ludzie. W mroku nie poznałem, co za jedni.

Wsparty o sztachety poprzez szpary patrzyłem na ten niezwykle ruch i powoli zacząłem się orientować w sytuacji. Byli to nowi, nieznani lokatorzy, którzy z pośpiechem wnosili do mieszkania przywiezione dopiero co i zwalone na podwórzu rzeczy. To już nie był dom Czarnookiej, lecz obcych, obojętnych mi ludzi.

Gorliwie uczęszczałem na komplet, coraz bardziej jednak moje zainteresowania skupiały się na rysowaniu. Niekiedy po prostu nie mogłem się oprzeć i nawet w zeszycie do polskiego lub matematyki szkicowałem ołówkiem twarze albo sceny podsunięte przez wyobraźnię. Nauczycielka od matematyki kilka razy zwróciła mi uwagę, ale raz na widok jakiegoś wesołego rysunku zaśmiała się głośno wobec całej klasy i już więcej nie czyniła mi z tego powodu żadnych wyrzutów.

Jesienią profesor odbył ze mną dłuższą rozmowę. Zachęcał bardzo do rysunków. Dał mi kilka książek z dziedziny malarstwa. Długo opowiadał o artystach, którzy wslawili się znakomitymi dziełami. Z całej tej rozmowy zrozumiałem jedno: profesor wierzył w moje niezwykle zdolności i pragnął, bym na nich budował przyszłość. Ale, niestety, musiałem myśleć o konkretnym fachu, aby móc zarobić na utrzymanie domu. (...)

Na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia otrzymałem świadectwo ukończenia siedmiu klas, z podpisem kierownika szkoły i prawdziwą, najprawdziwszą pieczęcią z orłem w koronie, a w nagrodę za dobre wyniki profesor wręczył mi album reprodukcji francuskiej malarzy, komplet nowych kolorowych ołówków i grubą teczkę rysunkowego papieru.

Kiedy odchodziłem, miałem mgłę na oczach. Kierownik znów położył kościstą rękę na ramieniu i powiedział:

— Zachodź często. Jeszcze mam sporo książek, które powinieneś przeczytać.

Wtedy nie mogłem przewidzieć, że za trzy dni po raz ostatni będę żegnał go na cmentarzu, zmarł bowiem jeszcze tego wieczora. Cała klasa szła za trumną, wiezioną na starym, rozklekotanym karawanie. Kiedy inni rzucali twarde jak kamień bryły ziemi na jasną sosnową trumnę, uciekłem. Nagle skojarzyło mi się to z kamieniowaniem żywego jeszcze człowieka.

Kilka książek, które pożyczył mi przed śmiercią, zachowałem pieczołowicie. Rozumiałem, że to zwykła kradzież i powinienem odnieść je żonie, lecz nie zdobyłem się na to. Co mną powodowało, nie bardzo sobie zdaję sprawę, wiem tylko, że gdybym poszedł i oddał książki, coś bym utracił. Może złudzenie, że profesor nadal żyje, a może obraz jego postaci poważnej, zasuszonej, lecz w jakiś utajony, szorstki sposób serdecznej.

Jerzy Pelc

[Jerzy Pelc, ur. 1924 r. w Warszawie – filozof, semiotyk i logik, od 1971 profesor Uniwersytetu Warszawskiego i Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. Absolwentem Liceum im. Stefana Batorego (matura 1942), uczestnik powstania warszawskiego, kolega Krzysztofa Baczyńskiego. Po wojnie studiował polonistykę; był uczniem Juliana Krzyżanowskiego i Witolda Doroszewskiego. Wydał między innymi *Beniowskiego Słowackiego*. Równocześnie poświęcił się studiom filozoficznym, prowadzonym głównie pod kierunkiem Tadeusza Kotarbińskiego. Autor prac: *Wstęp do semiotyki, Język współczesnej humanistyki, Logika i język.*]



Wojenne spotkanie z profesorem Władysławem Tatarkiewiczem.

[Z książki: *Z dziejów podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego*, Warszawa 1961]

4 maja 1942 r. przy ulicy Koszykowej 75, w mieszkaniu profesora Politechniki Warszawskiej Tadeusza Miłobędzkiego, którego syn Jerzy Adam, obecny docent architektury, należał do naszego kompletu — zdawaliśmy maturę humanistyczną: z polskiego, z łaciny, z historii i z angielskiego. W połowie czerwca zdaliśmy drugą maturę — matematyczno-fizyczną: z matematyki, fizyki i chemii. W ten sposób ukończyliśmy dwa licea: humanistyczne i matematyczno-fizyczne, a program klasycznego uzupełniliśmy sobie, ucząc się prywatnie greki. Takie kolekcjonowanie wiedzy, niepotrzebne zresztą, możliwe było tylko na tajnych kompletach. Mała liczba uczniów — u nas siedmiu — dobranych pod względem poziomu, zdolności i zainteresowań, pozwalała tak ekonomicznie gospodarować czasem, że od 8 grudnia 1939 r. do czerwca 1942 r. udało się nam przerobić pod kierunkiem naszych dawnych profesorów z gimnazjum Batorego kurs czwartej gimnazjalnej oraz dwóch klas licealnych w dwóch typach liceum.

Myślę, że nie tylko głód wiedzy skłonił nas do wzięcia na siebie podwójnych (jeśli nie liczyć pracy zarobkowej i konspiracji) obowiązków. Musiało tu wchodzić w grę także i niezdecydowanie. Jakoś szkoda było, gdy kończyła się klasa czwarta, porzucać ledwo rozpoczętą lekturę autorów łacińskich, szczególnie poetów, a z drugiej strony wydawała nam się daleka od elementarnej znajomości matematyki — bez całek, różniczek, geometrii analitycznej i wykreślnej; przede wszystkim zaś nie wiedzieliśmy jeszcze, co będziemy studiować. Trzeba więc było się i zabezpieczyć i zdobywać przygotowanie, które otworzy drogę zarówno na uniwersytet, jak i politechnikę, zarówno do nauk humanistycznych, jak i ścisłych.

Co gorsza, i po tych dwóch maturach nie byłem mądrzejszy. Z jednej strony nęciła mnie humanistyka — może socjologia, może filozofia, może filologia; z drugiej medycyna, z trzeciej — matematyka. A właściwie nic konkretnego o żadnej z tych dziedzin nie wiedziałem.

W tej sytuacji trzeba się było kogoś poradzić. Profesor Miłobędzki znał profesora Tatarkiewicza. Skierował mnie do niego. Onieśmielony, zdenerwowany szedłem któregoś z letnich, pogodnych dni 1942 r. na ulicę Prezydencką i starałem się sobie wyobrazić, jak też

będzie wyglądał ten profesor Tatarkiewicz, którego z książek już znałem. A trzeba dodać, że tak się jakoś składało, iż nigdy przedtem w ciągu niespełna osiemnastu lat mego życia nie rozmawiałem z żadnym profesorem uniwersytetu.

Z bijącym sercem wszedłem do ogródka okalającego willę i przycisnąłem dzwonek u drzwi wejściowych. Pokojówka wskazała mi drogę na pierwsze piętro. Pamiętam, że ściany na klatce schodowej obwieszane były sztychami, a w hallu parterowym i na piętrze wisiały płótna, chyba osiemnasto- i dziewiętnastowieczne. Wnętrze robiło wrażenie małego muzeum. Było to zresztą wrażenie migawkowe, bo nie zdążyłem dotrzeć do drzwi gabinetu, gdy szybkim krokiem wyszedł mi naprzeciw niewysoki, siwy, wytworny pan. Przywitał mnie z ujmującym uśmiechem, jak starego znajomego i jak gościa bardzo upragnionego i bardzo szanownego. Zostałem wprowadzony do niewielkiego gabinetu, pełnego książek, i posadzony w głębokim fotelu klubowym.

Gospodarz ośmielił mnie jakimś uprzejmym komplementem, mówiąc, że tak dobrze o mnie słyszał od naszych wspólnych znajomych i że rad jest, iż może będziemy w przyszłości pracowali w tej samej dziedzinie. Gdy powiedziałem, jakie mam zainteresowania, jakie wątpliwości oraz że moje niezdecydowanie płynie stąd, że szkoda mi z jednego zrezygnować, a zarazem chętnie bym się i drugiego uczył — mówiłem o polonistyce i filozofii tzw. ścisłej — gospodarz odrzekł z wyszukaną elegancją: „Cóż, jeśli wolno panu doradzić, to myślę, że mógłby pan połączyć jedno i drugie studia w tym samym czasie. Na przykład tak, jak kolega Suchodolski. On też kończył polonistykę, a później poświęcił się innym zagadnieniom humanistycznym. Mamy przykład, że to daje świetne rezultaty”. Od razu poczułem się tak wybitny jak profesor Suchodolski, którego postać w owych czasach obok zasłużonej sławy naukowej była otoczona nimbem konspiracji: wszak to on był owym Jadźwingiem, autorem książeczki „Skąd i dokąd idziemy”, wydanej przez konspiracyjną instytucję wydawniczą; nie tyle jaki wyczyn edytorski podziemia, które obok prasy potrafiło dostarczyć polskiemu czytelnikowi nawet książkę publicystyczną wybitnego uczonego.

Z wizyty u profesora Tatarkiewicza wyniosłem postanowienie, że będę studiował dwa fakultety — polonistykę i filozofię — oraz wskazówkę na przyszłość: jak wielkie znaczenie wychowawcze wobec ucznia czy studenta mają życzliwy uśmiech i elegancja w obejściu. Swym dystygowanym zachowaniem i staroświecką galanterią uczył nas tego Tatarkiewicz i później.

Pamiętam, jak raz wyszliśmy z koleżanką (Iką Krauze, obecnie pracownikiem naukowym IBL-u) z wykładu Tatarkiewicza na Świętokrzyskiej, gdzie, oczywista, jak to w niewielkim gronie, każde z nas witało się i żegnało z profesorem. Po wykładzie zaczęliśmy spacerować po Mazowieckiej tam i z powrotem, parę razy. I parę razy w ciągu niecałej godziny spotykaliśmy dopiero co widzianego profesora Tatarkiewicza, który zachodził do antykwariatów na tej ulicy i też przemierzył ją od końca do końca i z powrotem. Za każdym razem kłaniał się z pięknym uśmiechem i w taki sposób, iż widać było, że nie uznaje nauki Sędziego z „Pana Tadeusza”, że wprowadzie „grzeczność wszystkim należy, lecz każdemu inna”.

Teraz, po latach szesnastu, gdy zdarzy się mi nie poznać na ulicy którejś ze swoich słuchaczek i pierwsza mi się kłania, zawsze czuję się zażenowany swą nieumyślną nieuprzejmością i przypominam sobie tamte spotkania na Mazowieckiej. Zawsze też, gdy staram się naśladować profesora Tatarkiewicza, przestrzegając zachowania form towarzyskich, a nie „urzędowych”, w sytuacjach na przykład takich jak egzaminy, dochodzę do wniosku, że nie osiągnę poziomu swego wzoru, bo też mało kto, tak jak on, obdarzony jest przez samą naturę owym czarem osobistym, który uśmiech zabarwia serdecznością, a ukłonowi przydaje wdzięku.

Józef Wiłkomirski

[Józef Wiłkomirski (ur. 15 maja 1926 r. w Kaliszu) – polski kompozytor i dyrygent, autor baletów, utworów kameralnych i orkiestrowych.]

Dwukrotna matura

Maturę musiałem zdawać dwukrotnie. Do swojego pierwszego egzaminu dojrzałości przystąpiłem z terenu okupowanej przez Niemców Warszawy. Miałem wówczas 18 lat i nie znałem nawet nazwisk profesorów, którzy nas egzaminowali. Nie przypominam sobie także, jakie przedmioty, poza językiem polskim, trzeba było zaliczyć na tej tajnej maturze. Pamiętam natomiast, że nie było łatwo przygotować się do tego egzaminu. Równoległe brałem bowiem udział w tajnym kursie podchorążych, aby zostać oficerem. Ponadto od 15. roku życia regularnie pracowałem. Musiałem utrzymywać siebie oraz pozostającą pod moją opieką siostrę Wandę. Pieniądze zarabiałem koncertując ze starszymi kolegami jako wiolonczelista w kawiarniach, a później także w rewiach.

Potem wybuchło powstanie warszawskie, które pochłonęło dokumenty świadczące o zdaniu przeze mnie matury. Zatem musiałem zdawać ją ponownie. Było to w lutym 1946 roku, po moim powrocie z niewoli. Stolica była zniszczona. Dlatego profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego egzaminowali nas na Uniwersytecie Łódzkim. Potraktowali nas łaskawie, ale bez taryfy ulgowej. Do matury przystępowałem w ubraniu, w którym wypuścili mnie z obozu jenieckiego. To był mundur armii amerykańskiej z naszywkami „Poland”. Starłem się o przyjęcie na historię i właśnie ten przedmiot, oprócz języka polskiego, zdawałem na maturze pisemnej. Ponadto były jeszcze egzaminy ustne z języka polskiego, matematyki, języka obcego, geografii i historii. Miałem tylko sześć tygodni, aby przygotować się do egzaminu dojrzałości. Polegało to głównie na odtwarzaniu w pamięci wiedzy nabytej w przeszłości. Maturę jednak zdałem i zostałem przyjęty na uniwersytet. Dzięki temu miałem zaszczyt poznać mojego rektora Tadeusza Kotarbińskiego oraz zaprzyjaźnić się z Leszkiem Kołakowskim, który tam studiował filozofię.

Źródło: www.gazetawroclawska.pl/artykul/116378,matura-w-czasach-ii-wojnywiatowej,id,t.html?cookie=1

Wojenna matura uczniów Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego w Warszawie

Andrzej Zaorski

LATA WOJNY [Z książki: *Smolna 30. Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego*, PIW1989]

W 1939 roku uczniowie „Zamoyskiego” spędzali wakacje jak co roku. Drużyna harcerska rozbiła obóz w okolicach Zwierzyńca na Zamojszczyźnie i nikt wówczas nie przypuszczał, że tam właśnie będą toczyły się później ciężkie partyzanckie boje.

Wielu zamojszczaków wróciło jednak z wakacji wcześniej niż zazwyczaj. Mimo niepewnej sytuacji politycznej niemal wszyscy byli przekonani, że — jak co roku — w dniu 1 września rozpocznie się nauka. I oto nagle wybuchła wojna.

1 września szkół nie otwarto, miało to nastąpić w terminie późniejszym. W dniu 3 września natomiast tysiące warszawiaków, a wśród nich wielu uczniów w niebieskich maciejówkach, zgromadziło się pod ambasadą brytyjską na Nowym Świecie, na rogu Smolnej, potem pod francuską, tłumnie wyrażając swój entuzjazm z powodu wypowiedzenia przez naszych sojuszników wojny Niemcom. Niestety, niedługo potem dziesiątki tysięcy mężczyzn, w tym wielu naszych kolegów, opuszczało Warszawę na nieszczęsny apel pułkownika Umiastowskiego. Nie tu miejsce na opisywanie gehenny ucieczki i tułaczki. Od października rozpoczęły się powroty.

I zaraz, pojedynczo i małymi grupkami, wędrowali zamojszczacy przez zrujnowany Nowy Świat, z bijącym sercem skręcali w Smolną, z daleka już wypatrując kochanego gmachu. Szkoła nie zawiodła ich — przetrwała oblężenie Warszawy — była gotowa przyjąć w obszernych i opiekuńczych murach swoją młodzież. Znaleźli się także profesorowie, z dyrektorem Janem Kozickim na czele, i zamierzali rozpocząć lekcje, aby „nadgonić” stracone dwa miesiące nauki. Jednak kiedy, zgodnie z ustalonym planem, na początku listopada rozpoczęto zajęcia nagle okupant zakazał młodzieży gimnazjalnej i licealnej dalszej nauki. Rozpoczęło się wprowadzanie w życie hitlerowskiego planu wyniszczenia

moralnego i intelektualnego narodu polskiego. A dla szkoły nastąpił najtrudniejszy w jej dziejach, można rzec, heroiczny okres działalności.

Nauczyciele, których kwalifikacje fachowe i zdolności pedagogiczne były wszystkim dobrze znane, stanęli przed problemem nowym, trudnym i niebezpiecznym. W jaki sposób umożliwić młodzieży dalszą naukę, jak osiągnąć właściwy jej poziom, jak przy tym zapewnić bezpieczeństwo. Nie musimy przypominać, iż za złamanie jakiegokolwiek rozporządzenia hitlerowskich władz, w tym zakazu nauczania, groziły ciężkie kary więzienia, obozu, a nawet śmierci.

Mimo to Jan Kozicki, który kierował szkołą od 1938 roku, przystąpił osobiście do organizowania nauki konspiracyjnej na kompletach, które stanowiły grupy uczniów złożone zazwyczaj z 5 do 6 osób. Nasi profesorowie okazali się wtedy nie tylko ludźmi odważnymi, ale stali się szybko wypróbowanymi konspiratorami. Już w listopadzie nauka w klasach licealnych potoczyła się sprawnie prawie od początku miesiąca. Nie jest znany ani jeden przypadek „wpadki”. Komplety dzieliły się, jak poprzednio klasy, na kierunki humanistyczny i matematyczno-fizyczny. Jedynie w grupach językowych: francuskiej i niemieckiej, zajęcia odbywały się w kompletach mieszanych.

Nie jest dziś możliwe dokładne ustalenie liczby kompletów ani wszystkich nazwisk profesorów, gdyż konspiracja była ścisła i ze względów bezpieczeństwa nie prowadzono archiwum. Wiadomo, iż większość wykładowców uczyła dwóch przedmiotów, mimo iż w szkole nie było to praktykowane.

I tak na przykład Kazimierz Skąpski uczył historii powszechnej i języka polskiego oraz w ostatniej klasie propedeutyki filozofii, Zygmunt Dufrene matematyki i chemii, Włodzimierz Gordziejew łaciny i języka niemieckiego, Władysław Sylwanowicz fizyki, Mateusz Trzaska biologii, Zofia Skibińska francuskiego, ksiądz Stefan Piotrowski religii z etyką.

Nie obyło się niestety bez ofiar, w obozach koncentracyjnych ponieśli śmierć: Romuald Buczowski, kierownik szkoły powszechnej, oraz nauczyciele: Marian Zagożdżon, Zbigniew Dufrene

Na lekcje zbierano się w mieszkaniach uczniów, ale dla dobra konspiracji znano tylko te adresy, które dotyczyły jednego kompletu. Na przykład jeden z kompletów uczył się w mieszkaniach rodziców: St. Niekenhagena — Marszałkowska 81 (w podwórzu), Andrzeja Zaorskiego — Warecka 9, Andrzeja Tryzybowicza — Nowy Świat 7, i Tadeusza Peche — Nowy Świat 41 (w podwórzu). To ostatnie miejsce było najlepsze ze względów konspiracyjnych, gdyż z podwórza posesji prowadziła furtka dająca przejście na placyk z figurą Matki Boskiej przy ulicy Górskiego (dawniej Hortensji). Mogło to ułatwić, i ułatwiało, ewakuację w wypadku łapanki na Nowym Świecie. Komplety z francuskiego odbywały się w mieszkaniu profesor Skibińskiej, w ogromnym pięciopiętrowym, starym domu przy ulicy Górskiego 3.

Od 1940 roku każdy mężczyzna i młody chłopak musiał mieć jakiś Ausweis, dlatego większość uczęszczających na komplety rozpoczęła jednocześnie naukę w oficjalnych szkołach zawodowych (średnich), których kilkanaście, o różnym profilu, powstało w Warszawie. Wielu kolegów takie szkoły ukończyło, a piszący te słowa, mimo że jest lekarzem, może także występować jako technik rolniczy po ukończeniu szkoły rolniczej inżyniera Wiśniewskiego przy ulicy Pankiewicza.

Przedpołudniowe zajęcia w szkołach oficjalnych spowodowały konieczność przeniesienia godzin nauki na popołudnia. Można sobie wyobrazić, jak bardzo obciążało to profesorów, którzy uczyli na paru kompletach i musieli odbywać liczne przejazdy i spacerować codziennie po tak niebezpiecznym mieście, jakim była wówczas Warszawa.

Może trochę na przekór koszarnej rzeczywistości chłopcy uczyli się dobrze. Nie należy jednak rozumieć, iż wszystko odbywało się w atmosferze powagi. Zdarzały się także na kompletach szkolne dowcipy. Znam kolegę, który mawiał przed klasówką: „Postawiłem na konika” — znaczyło to, że nauczył się tylko jednego tematu i jeśli trafił — to wygrał, jeśli nie, to nie narzekał. Ale maturę zdał razem z całym kompletem. Czasem uczniowie, ci lepiej przygotowani, „wyłapywali” drobne potknięcia nauczycieli, którzy wykładając przedmiot spoza swojej zasadniczej specjalności „zacinali się” i odkładali wyjaśnienie zagadnienia do następnego wykładu. Nie umniejszało to jednak nigdy naszego dla nich szacunku.

W miarę upływu czasu stawało się jasne, iż ten i ów z kolegów ma jeszcze inne, poza nauką, zajęcia — konspiracyjne, ale dla dobra sprawy i nieobciążania pamięci nigdy o tym nie rozmawiano na kompletach.

Całą organizację zajęć, harmonogram lekcji, podawano uczniom do wiadomości niemal tak jak

w normalnej szkole i plan ten był skrupulatnie wykonywany. (O dziwo, prawie nie było nieobecności z powodu choroby!) Ale szara brać uczniowska nie wiedziała właściwie, kto tym tokiem nauki kieruje.

Maturzyści wojenni dowiadawali się o tym w dniach egzaminów. Matury konspiracyjne naszej szkoły odbyły się w okresie okupacji hitlerowskiej pięć razy — od roku 1940 do 1944. Spośród tych pięciu opiszę moją maturę, którą zdawałem w 1941 roku. Otóż po naprawdę ciężkiej pracy i solidnym przygotowaniu egzaminy rozpoczęto od pracy pisemnej z języka polskiego. Lokalu użyczył tym razem profesor Kazimierz Skąpski u siebie na Saskiej Kępie. Czas na pisanie pracy „bite” pięć godzin — jak przed wojną. Tylko góra pączków i herbata w przerwie stanowiły różnicę — prezent od profesora.

Egzaminy z innych przedmiotów odbywały się w różnych mieszkaniach kolegów. Dopiero najważniejszy egzamin ustny odbył się u naszego Dyrektora, i to w jego gabinecie, w szkole na Smolnej 30.

To symboliczne niemal ujawnienie się dyrektora w najważniejszym momencie życia ucznia, w dniu matury, było szczególnym podkreśleniem znaczenia tego wojennego świadectwa dojrzałości. Było wyrazem wiary profesorów w rzeczywistą dojrzałość swoich wychowanków w tym strasznym okresie okupacji.

Po zdaniu matury odbywały się zgodnie z tradycją „bale maturalne”, oczywiście w bardzo skromnej skali. Najczęściej udawało się jednak zebrać profesorów, nieraz uprosić Dyrektora i oczywiście skrzyknąć kolegów z paru nawet kompletów. Było to przecież ostatnie spotkanie w takim gronie. Niektóre „bale” gromadziły do trzydziestu osób. Nie było tańców ani zabawy, ale była radość ze szkolnej matury wbrew zakazom, mimo gróźb, mimo niebezpieczeństw.

Żadnych zaświadczeń po zdaniu matury nie wydawano. Wszystkie nazwiska maturzystów musiały pozostać w pamięci nauczycieli, a może w szyfrowanych notatkach, które zapewne prowadzili.

I oto obecnie udało się odszukać niezwykle cenny dokument, który znajduje się w Państwowym Archiwum m.st. Warszawy, ulica Krzywe Koło 7. Jest to cieniutka teczka, w której spoczywa jeden złożony arkusz pożółkłego już papieru w kratkę, zapisany ręcznym pismem. Nagłówek brzmi: „Wykaz maturzystów Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego.” Jest to spis kolejno numerowanych 97 nazwisk maturzystów z lat 1940—1944 sporządzony przez profesorów Skąpskiego, Trzaskę, Podleńskiego i Sylwanowicza i kontrsygnowany przez profesora Wiesława Żurawskiego jako zastępcę dyrektora szkoły. Dokument ten nosi datę 5 IV 1945 r.

Spis sporządzono z podziałem na lata szkolne oraz kierunki humanistyczny i matematyczno-fizyczny. Poniżej widnieje sporządzona tą samą ręką notatka mówiąca, iż wszystkich maturzystów było zapewne w okresie wojny około 200. Druga, gruba, niejako oficjalna teczka zawiera wydane przez Kuratorium Okręgu Warszawskiego świadectwa maturalne (duplikaty oryginałów) Gimnazjum Towarzystwa im. Jana Zamoyskiego z okresu okupacji. Są to druki z fotografiami wydawane przez kuratorium po wojnie. Tych świadectw znajduje się w teczce 103. Po porównaniu pierwszej listy z teczką z kuratorium okazało się, iż spośród 97 uczniów z listy profesorskiej odebrało świadectwa maturalne 58. Nazwiska dalszych 13 maturzystów z tej listy znajdują się w Księdze Poległych Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego. O pozostałych 26 wiadomo, że kilku wróciło do kraju po 1947 roku, a na pewno kilku zginęło. Jak więc wynika z suchych danych liczbowych, zapewne około 25 procent wojennych maturzystów zginęło. Przeważnie ginęli w czasie Powstania na ulicach i barykadach Warszawy, niektórzy nie powrócili do kraju z obozów jenieckich, inni nie doczekali zakończenia wojny, zamęczeni w obozach i katowniach Gestapo.

Tak więc tylko około 70 procent naszych wojennych maturzystów odebrało swoje oficjalne dokumenty maturalne. Taka wielka liczba ofiar spośród zamojszczaków dobitnie świadczy o tym, że byli oni na pierwszych liniach frontu — w walce otwartej i podziemnej, tej szczególnie niebezpiecznej. Wychowanie w poczuciu patriotyzmu przez naszą szkołę nie poszło na marne.

Należy podkreślić, iż liczba około 200 wojennych matur (wg notatki profesorów) w ciągu pięciu lat, co stanowi około 40 matur rocznie, nie odbiega daleko od liczby matur z okresu przedwojennego. Było to możliwe tylko dzięki ogromnemu wysiłkowi organizacyjnemu w najtrudniejszych warunkach okupacji, w okresie stałego zagrożenia życia. Był to wielki, osobisty sukces na polu walki z wrogiem o polską szkołę i młodzież, odniesiony przez profesorów i wychowawców, którzy przygotowali tę młodzież do pracy i nauki w okresie powojennym.

A szkoła? Dzięki solidnej konstrukcji gmach, choć nadpalony, ocalał i czekał na Smolnej, jak zawsze cichej, na swoich wychowanków w niebieskich maciejówkach.

Niezwyyczajna szkoła



tajne nauczanie na terenie
Kuratorium O. S. W.